Nr. 24. Kraków, 15 Grudnia 1892 r. Rok II.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi w Krakowie:
rocznie . . . . . . 7 złr. 20 centów
kwartalnie . . . . . 1 „ 80 „
miesięcznie . . . . . — „ 60 „
Za odnoszenie do domu dopłaca się miesięcznie 5 ct.
Numer pojedynczy kosztuje 30 ct.
Rękopismów drobnych nie zwraca się.

MYŚL

Prenumerata na prowincyi
i w całej Monarchii Austro-Węgierskiej wynosi:
rocznie 8 złr. — ct., kwart. 2 złr. — ct.
W Niemczech:
rocznie 16 m., pół rocznie 8 m., kwartal. 4 m.
We Francyi:
rocznie 20 franków, kwartalnie 5 fran.
Ogłoszenia i reklamy przyjmuje Administracya „MYŚLI" po 10 ct. za wiersz petitem lub jego miejsce za pierwszy raz, a po 5 ct. za następne.

Redakcya i Administracya znajdują się w Krakowie przy placu Szczepańskim L. 9, gdzie też uprasza się nadsyłać wszelkie przekazy i pisma.— Prenumeratę przyjmują również na miejscu wszystkie księgarnie: we Lwowie księgarnie: Seyfartha i Czajkowskiego oraz Altenberga, a pojedyncza sprzedaż w biurze L. Plohna. W Poznaniu: księgarnia J. Leitgebra.

DO NASZYCH CZYTELNIKÓW.

Numerem dzisiejszym zamykamy **drugi rocznik** „Myśli."

Na biednej niwie galicyjskiej, tak nie podatnej do uprawy peryodycznych organów literacko-społecznych, w kraju, liczącym miliony analfabetów, gdzie więc lata istnienia podobnego rodzaju pism, należałoby liczyć przynajmniej w dwójnasób — samo stwierdzenie faktu powyższego, że przetrwaliśmy prawie **dwa lata**, nie opierając się na nikim i na niczem, a mając przeciwnie do walczenia z ogromnemi przeszkodami materyalnej i moralnej natury, z przedziwną apatyą ogółu i zastraszającem nierozumieniem potrzeby pokarmu duchowego bez domieszki politycznych i stronniczych kwasów — samo stwierdzenie, powtarzamy, tego faktu winno nas najlepiej polecać ogółowi inteligentnemu i uwolnić od tradycyą uświęconego zwyczaju zachwalania własnego kramiku.

Brzydząc się wszelaką kupiecko-wydawniczą reklamą, która publiczność jeno bałamuci, zamiast oświecić co do kierunku i wartości pisma — pragniemy tylko w krótkich odezwać się słowach, w nadziei, że rozumny czytelnik dopowie sam to, czego w zapowiedzi nie [...]dzie.

Rozpoczynając z r. 1893. **trzecią walną kampanię** — redakcya „Myśli" nie zapoznaje długiego łańcucha trudności, jakie jej w dalszym pochodzie na cierniami i głogiem zasłanej drodze zwalczać przyjdzie; wiemy o tem z własnego, niestety, smutnego doświadczenia, a jednak nie zakładamy rąk, nie cofamy się z posterunku, lecz przyrzekamy iść dalej, coraz dalej, choćby przebojem, z hasłem „Jesteśmy i istnieć będziemy!" i w przeświadczeniu, że ciężka praca i dobre chęci znaleść muszą prędzej czy później należyte uznanie i rzetelne poparcie.

Świadectwem tego, cośmy dotąd zrobili drobnemi środkami — są dwa roczniki „Myśli" z lat: 1891 i 1892, w których czytelnicy znajdą najpełniejszy i najźródłowszy obraz literackich i społecznych prądów w Polsce i zagranicą, gdzie na zdrowym podkładzie szczerze narodowych i prawdziwie postępowych myśli utkaną jest bogata wiązanka prac najdzielniejszych naszych pisarzy.

Z Nowym Rokiem wprowadzimy zwolna do **„Myśli" ilustracye**, bynajmniej nie w celu rywalizacyi z pismami obrazkowemi i nadania odmiennego charakteru i typu naszej „Myśli," lecz gwoli urozmaicenia i zewnętrznego upiększenia a nawet poniekąd uzmysłowienia tekstu, przez co staniemy na obecnym poziomie zadań i pojęć zagranicznej prasy.

Ilustracye nasze nie będą reprodukcyami oderwanemi, lecz przygodnemi, tj.: zastosowane dostawą do chwili bieżącej, dopełniając niejako i objaśniając treść wewnętrzną pisma. Do kategoryi więc *naszych ilustracyj* zaliczyć wypadnie: **portrety, zdjęcia budynków, uroczystych obchodów, przedstawień, widoków, przyrządów naukowych** i t. d. Dział ten wprowadzać będziemy, jak już zaznaczyliśmy, zwolna i stopniowo, w miarę uznania i poparcia, jakiego mamy już prawo domagać się, z tytułu dotychczasowej pracy i z racyi zamierzonego przez nas wszechstronnego rozwoju „Myśli".

Pomimo, oczywiście, zwiększonych przez zaprowadzenie *ilustracyj*, kosztów i nakładu pracy, postanowiliśmy *wcale nie podwyższać przedpłaty*, która i nadal wynosić będzie:

W Krakowie: 7 złr. 20 centów rocznie,
3 „ 60 „ półrocznie,
1 „ 80 „ kwartalnie.
Na prowincyi i w całej Monarchii:
8 złr. rocznie,
4 „ półrocznie,
2 „ kwartalnie.

W tece redakcyjnej posiadamy już wiele cennych prac, pióra głośnych pisarzy, których druk rozpoczniemy w najbliższych numerach.

Między innemi zamieścimy: wyczerpujące *sylwety* (z portretami): *Asnyka, Bałuckiego, Blizińskiego, Chmielowskiego, A. Wilczyńskiego, Estreichera, A. Krechowieckiego, Sewera, Sienkiewicza, M. Pawlikowskiego, Zacharjasiewicza, Ujejskiego* i wielu innych.

Profile polskich i zagranicznych **uczonych** (ze szczególnem uwzględnieniem **profesorów naszych Wszechnic i rozwoju polskich instytucyj naukowych**).

Dalej drukować będziemy w „Myśli": **Studyum Or-ota (Oppmana): „Współczesna poezya polska"**; studyum **W. Z. Kościałkowskiej: „O prozie Konopnickiej"; G. Flauberta: „Pokusy św. Antoniego,"** w przekładzie Ant. Langego; stałe korespondencye literacko-artystyczne z **Wiednia** Dra Henryka Monata, z **Paryża** W. Bugiela, z **Berlina** Dr. N. W. i z innych ognisk europejskich.

W **fejletonie** rozpoczynamy z Nowym Rokiem **oryginalną powieść** z pośmiertnej teki wielce utalentowanej, a tak przedwcześnie zgasłej autorki **Waleryi Soleckiej** p. t.:

„Partya szachów,"

obok tej zaś powieści zamieszczać będziemy utwory mniejszych rozmiarów: **Elizy Orzeszkowej, Bałuckiego, Blizińskiego, Sewera, Rodziewiczówny, Rossowskiego, Rawity** oraz najcelniejszych pisarzy obcych: **Hanssona, Kiellanda, Strindberga, Garborga, Hamsuna** i t. d.

W dziale krytycznym mamy zapewnione współpracownictwo: **Piotra Chmielowskiego, Dra H. Biegeleisena, Ant. Potockiego, Nowickiego, Lutomskiego.**

Dział poezyj w „Myśli" zasilać będą: *Konopnicka, Ujejski, Lenartowicz, Kasprowicz, Rossowski, Ant. Lange, Or-ot, Jankowski, Fr. Nowicki, Szczęsna.*

Jako *premia nadzwyczajne* dla *naszych rocznych* przedpłacicieli przeznaczamy:

I. **„Klęskę" (La Débâcle).**

Najznakomitsze dzieło E. Zoli w oddzielnej odbitce (którego druk zdołaliśmy w fejletonie doprowadzić zaledwie do VI. rozdziału) i w doskonałym przekładzie.

II. „Śnieg," Kiellanda,

głośną powieść norwegskiego pisarza.

III. Poezye Or-ota lub *Antoniego Langego*

(do wyboru).

Premia powyższe, stanowiące cenną Bibliotekę „Myśli," o wartości, przewyższającej znacznie roczną przedpłatę — otrzymają ci abonenci nasi, którzy nadeślą wprost do administracyi: 7 złr. 20 ct. (w miejscu), 8 złr. (w Monarchii), 16 marek (w Niemczech), 20 franków (we Francyi) — bezpłatnie i franco możliwie już w drugim kwartale b. r.

Jako *premia* dla *półrocznych* przedpłacicieli przeznaczamy:

„Śnieg," powieść *Kiellanda* i *poezye Or-ota* lub *Ant. Langego* (do wyboru).

Nadto wszyscy abonenci otrzymywać będą, począwszy od drugiego kwartału, *bezpłatnie stały dodatek powieściowy*, zawierający utwór *oryginalny*, *wielce sensacyjny*.

UWAGA: Poprzednie roczniki nabywać można tylko w administracyi „Myśli" po cenie nadzwyczaj zniżonej, a mianowicie:

Rocznik „Myśli" (z r. 1891) po cenie **4 złr.** (z przesyłką **4 złr. 15 cent.**).

Rocznik „Myśli" (z r. 1892) po cenie **6 złr.** (z przesyłką **6 złr. 15 cent.**).

(Biorący **obydwa roczniki** nie ponoszą kosztów przesyłki).

Przekazy uprasza się nadsyłać pod adresem: *Administracya „Myśli," Kraków.*

BALLADA.

Życie jest nasze dziwnie jednostajną
I przykrą marą. Duchowi każdemu
Łez gorzko słona wilgoć jest zwyczajną
I znanym ciężar męczeństw dyademu.
Sen jest ucieczką z tego czarnoziemu,
A zapomnienie jedynem zaciszem,
Co nas ku niebu porywa jasnemu:
Lecz śmierć najwyższym snem jest i haszyszem.

Znużony suszą walk nieurodzajną
Próżno się losów wiecznie pytasz: Czemu?
I tylko opjum ma tę życiodajną
Moc, która ulgę niesie znękanemu.
Nargile — wina — roskosze haremu —
I pieśń — i modły przed jakim fetyszem —
To tylko opjum różnego systemu,
Lecz śmierć najwyższym snem jest i haszyszem!

I oto błądzisz nad drogą rozstajną
Trwożny, jak ranne, bezskrzydlate emu
Aż staniesz w końcu nad przepaścią skrajną,
Gdźie widzisz nicość ludzkiego problemu.
Oto przegrana ostatniego szlemu!
Napróżno walczyć słowem czy berdyszem,
Lepiej się snowi oddać półmartwemu,
Lecz śmierć najwyższym snem jest i haszyszem.

Dobrem jest życie. Lecz lepiej takiemu,
Co precz odchodzi. Lepiej śmiertelnemu
Psem być umarłym, niż żywym Jowiszem.
Opjum — jedyny to przedsmak edemu,
Lecz śmierć najwyższym snem jest i haszyszem.

A. Lange.

NOKTURN.

Gdzieś w śnieżnym, w dalekim gdzieś świecie
Snuł przędzę tęsknoty i troski,
Dziś ukląkł pod krzyżem, jak dziecię,
Na skraju rodzinnej swej wioski.
Przylgnąwszy do ziemi macierzy,
„Gdzie słonko twe?“ — pytał ze łzami....
I dzwonek zaśpiewał na wieży:
„Za mgłami.... za mgłami.... za mgłami....“

* * *

Wędrowiec wzrok podniósł od ziemi
Ku niebios, ginącej w mgle toni,
I wołał ustami drżącemi:
„Gdzież moi najmilsi? gdzie oni?
Ach! tylem ja za nich pacierzy
I modlitw do Boga słał tyle....“
I dzwonek zaśpiewał na wieży:
„W mogile.... w mogile.... w mogile....“

* * *

Ból serce tułacza wziął w kleszcze,
Na strzępy je targa, krwi chciwy,
„Ach! jednak zostały mi jeszcze
Te znane, te łąki i niwy.
W nich hufce skrzydlatych rycerzy
Śpią, krwawe złożywszy pałasze....“
I dzwonek zaśpiewał na wieży:
„Nie nasze... nie nasze.... nie nasze...“

* * *

Ze źrenic chmurnego wygnańca
Łez gorzkich bryznęły potoki:
„Ach! na toż ze świata jam krańca
Wiódł tutaj sieroce me kroki?
Kto smutek, kto ból mój uśmierzy,
Co pierś mi rozdziera na ćwierci?...“
I dzwonek zaśpiewał na wieży:
„Sen śmierci.... sen śmierci.... sen śmierci....“

Or.-Ot.

WOLNE MYŚLI.

(Fejleton.)

Szanowny Redaktorze!

List twój odebrałem i nie mogę powiedzieć, ażebyś mię nim mocno zbudował lub ucieszył. Lubię bardzo wesołych, sam bowiem jestem hipochondrykiem, a nie znoszę już wcale utyskiwań, skarg i jakichś lamentów, zwłaszcza, jeżeli one zupełnie są bezpodstawne.

Uskarżasz się na społeczeństwo, jego apatję, brak poparcia, trudności wydawnicze, z jakiemi łamać się musisz, niewdzięczną pracę redaktorską, przeszkody i drobiazgi, które zazwyczaj każdemu przeciętnemu wydawcy początkowemu kością w gardle stają.

Otóż, niemasz wcale słuszności. Szukasz przyczyn i powodów swoich utrapień wydawniczych tam, gdzie ich niema. Radzę Ci, poszukaj ich w Sobie samym, a jeżeli Ci to sprawia niejaką trudność, w co wierzę, pozwól, że pomogę Ci zrobić rachunek Twego sumienia.

A zatem, pierwszy, nadzwyczajny błąd, jaki popełniłeś — jest już tytuł Twego pisma, którego wyborem zdradziłeś nietylko grubą nieznajomość naszego społeczeństwa, ale co bardziej, dopuściłeś się jego ciężkiej obrazy. Na Boga, bowiem Szanowny Redaktorze! Chyba nie zdałeś sobie sprawy z tego, co uczyniłeś? Czy nie jest dotkliwą obrazą dla społeczeństwa naszego tytuł pisma „Myśl“? Czy posądzenie samo publiczności galicyjskiej o grzech tak ciężki jak myślenie, lub przypisywanie jej zdolności do wykonywania tej funkcyi nie zdradza już wielkiej nieznajomości rzeczy? Nazwij pismo swoje jak chcesz: „Lekkomyślność“, „Bezmyślność“, „Domyślnik“, jeżeli już od pierwiastka „myśl“ odstąpić nie chcesz i w tytule ona zawierać się musi, ale na miłość Boską, nie żądaj, ażeby pismo o tytule tak obrażającym pozyskało Ci tysiące prenumeratorów!

Albo jak mi się wytłumaczysz z niezręczności, popełnianych, jedna po drugiej, w ciągu wydawnictwa całego? Pomieszczałeś np. w swojej „Myśli“ artykuły tego rodzaju, co „Tragedya ludzkości“ Madacha, Studya z natury Cezarego Jellenty, krytyki o Maeterlincku, studya o poezyi polskiej, przekłady poetów angielskich, ba, pisałeś o „Reformie podatków bezpośrednich“, „O Polakach w Brazylii“ i podobne potworności, świadczące albo o Twojej niekompetencyi w redagowaniu pisma społecznego i literackiego, albo o fatalnem wyobrażeniu o społeczeństwie, wśród którego żyjesz, albo o jednem i drugiem zarazem. Bo, proszę Cię, cóż może w gruncie rzeczy obchodzić kogo jakaś tragedya ludzkości, gdzie jakiś pan Madach każe Adamowi i Ewie rozprawiać z Lucyferem, oprowadza ich po całym świecie i każe rozwiązywać jakieś „zagadki bytu“. Co może nas obchodzi jakieś „studyum“, lub angielski, czy jaki tam jest, poeta Shelley, Byron albo Maeterlinck. Dziękować Bogu tragedyi każdy ma dosyć u siebie w życiu, w domu i po za domem, studyów dosyć nieszczęsnych w szkołach, a kto już koniecznie chce wreszcie czytać, to ma w tym celu pisma humorystyczne, lub też wreszcie kalendarz pierwszy lepszy, gdzie i wierszy po uszy i uśmiać się można, jak za dobrych czasów.

Albo naprzykład, uważałem, pomieściłeś w ostatnim numerze portret malarza Loefflera, co do którego, nawiasem mówiąc, niema ostatecznie pewności, czy żyje czy umarł (fejletonista urzędowy *Gazety Lwowskiej* pan Alfred Nossig, twierdzi np., że Loeffler „cierpiał, żył i umarł“). I pytam po co? Czy nie byłoby o wiele roztropniej, pomieszczać życiorysy i portrety osób ogólne zajęcie budzących. Toczył się np. niedawno proces Medweja we Lwowie. Czy redakcya pisma, rozumieją-

KLĘSKA

(La débâcle).

POWIEŚĆ

przez

17) EMILA ZOLĘ.

Wszyscy żołnierze byli z tego nadzwyczaj kontenci. Od chwili, jak front bojowy zaczął się formować, od Chestres do Falaise ożywienie w obozie z każdą chwilą rosło, gorączka niecierpliwości ogarniała wszystkich. Nakoniec więc zobaczą tych prusaków, o których dzienniki opowiadają, że są tak marszami znużeni, chorobami wycieńczeni, wygłodzeni i zaledwie łachmanami okryci i nadzieja pokonania ich za pierwszem starciem, dodawała wszystkim odwagi.

— No!... to jeszcze szczęście, że ich raz na oczy zobaczymy — rzekł Jan. — Od tak dawna bawimy się w chowanego, jakeśmy się raz zgubili tam nad granicą, po tem ich zwycięstwie... Ale to tylko ciekawe, czy to są ci sami co pobili Mac-Mahona?..

I Maurycy nie był w stanie dać stanowczej odpowiedzi, bo sam dobrze nie rozumiał jak się to dzieje. Według tego, co czytał w Reims, zdawało mu się bardzo trudnem, aby trzecia armia pod dowództwem księcia następcy tronu pruskiego mogła się znajdować pod Vouziers, kiedy dopiero onegdaj była pod Vitry-le-Francais. Mówiono wprawdzie coś o czwartej armii pod rozkazami księcia saskiego, która miała operować nad Meuzą. Może to ona właśnie?.. chociaż i w takim razie takie szybkie zajęcie Grand Pré dziwiło go z powodu wielkiej odległości.

Do reszty zaś pomieszało mu się w głowie i ogłupiło go to, gdy usłyszał jak generał Bourgain Desfleuilles wypytywał wieśniaka z Falaise, czy rzeka Meuza, nie przechodzi czasem pod Buzancy i czy są tam na niej mosty stałe i pewne. Zresztą w swej nieograniczonej nieświadomości, której nie taił, bo się ona jemu samemu zupełnie naturalną wydawała, generał zapewniał, że zostaną zaatakowani przez stutysięczną kolumnę, idącą od Grand Pré, którą to kolumnę poprze druga, sześćdziesięciotysięczna, dążąca od strony Sainte-Menechoulde.

— A cóż twoja noga? — zapytał Jan Maurycego.

— Nie czuję jej wcale — odparł młody chłopiec ze śmiechem. — Jeśli będzie bitwa, wszystko pójdzie dobrze!..

I prawdą było, że podrażnienie nerwów tak silnie owładnęło nim, że nie czuł bólu ni znużenia. Bo i pomyśleć sobie, że od chwili rozpoczęcia kampanii ani jednego jeszcze nie spalił naboju!.. Był przecież nad granicą, przebył pod Milhuzą tę noc niepokoju straszną i nie widział ani jednego prusaka, nie wystrzelił ani razu jednego; cofać się musiał aż do Belfortu, aż do Reims i znowu idzie naprzód na nieprzyjaciela od dni pięciu, niosąc na ramieniu swój karabin dziewiczy bezużytecznie. Coraz bardziej wzrastająca potrzeba, jakaś wściekła żądza go brała wycelować do czegokolwiek i palnąć, żeby choć nerwy uspokoić!.. Od sześciu tygodni, jak wstąpił do wojska jako ochotnik, w chwili rozszalałego zapału, z myślą o bitwach i z wycięztwach, nie robił nic innego, jak tylko zrywał sobie nogi wydelikacone i do takiego trudu nie przywykłe, uciekaniem i dreptaniem na miejscu zdala od nieprzyjaciela. To też wśród gorączkowego oczekiwania wszystkich, on był jednym z tych, który najniecierpliwiej badał wzrokiem tę drogę do Grand Pré, biegnącą prosto w nieskończoną dal, pomiędzy drzewami pięknemi. Pod nim dolina się roztaczała, Aisna kładła swoją srebrną wstęgę pomiędzy wierzby i topole, a przecież wzrok jego nieprzeparcie wracał na drogę i wytężał

cego potrzeby społeczeństwa i znająca jego pragnienia nie powinna była zamieścić portretu i życiorysu bohaterów sensacyjnej sprawy? Ot, toczył się niedawno sensacyjny proces handlarza dusz Hendigera. Cóż zrobiłeś mój redaktorze? Oprócz jednego artykułu, omawiającego sam fakt pojawienia się tego potworu na widowni społeczeństwa naszego, czy potrafiłeś go odpowiednio wyzyskać? Czy zręczniejszy od Ciebie redaktor, nie postarałby się o jego sportretowanie w kilku pozycyach i rozmaitych sytuacyach, jak np. „Hendiger z Abelesem“, „Hendiger na estradzie prelekcyjnej“, „Hendiger z Markgrafskim“, i „Hendiger przed kratkami“?

Wydajesz pismo swoje w Krakowie — a jestże ono zwierciadłem tego dzielnego ruchu i szerokiego postępu, jaki się tu na każdym kroku objawia? Godziż się obojętnem okiem przypatrywać z drugiej strony zapędom nowatorskim „ludzi bez czci i wiary“, którzy śmią twierdzić, iż kobieta nie tylko dla przyjemności mężczyzny została stworzoną i oprócz kunsztu krajania klusek i cerowania skarpetek, może i powinna nawet rozwijać swój „światopogląd“ we wszystkich kierunkach wiedzy i nie zamykać swej działalności w sferze flirtu i plotek. Czy „Myśl“ Twoja odzwierciedla zatem myśl społeczną i literacką? Wątpię, ażebyś mógł być tak śmiałym i odpowiedzieć mi, że tak.

Przyznasz zatem, mój Redaktorze, że an apatya społeczeństwa, ani brak zamiłowania do literatury i rzeczy pięknych, ani te wszystkie ujemne strony, jakie w niem chcesz widzieć, ale jedynie brak zmysłu praktycznego, nieumiejętność korzystania z chwilowej sytuacyi, zastosowania się do potrzeb intelektualnych publiczności, słowem zapoznanie stanowiska redaktora czasopisma społeczno-literackiego jest powodem, iż „Myśl“ Twoja nie jest tak poczytną i popularną, jaką mogłaby się stać, gdybyś się od początku jej wydawnictwa trzymał prawideł, przezemnie tu tylko z lekka naszkicowanych.

Chcę Ci jednak udzielić przyjacielskiej rady. Oto właśnie wpadł mi w ręce numer jednego z pism, w którym czytam co następuje:

„Wyścigi krakowskie w r. 1893 zapowiadają się nadzwyczaj imponująco. W dniu wczorajszym t. j. 15 grudnia o godzinie 10 wieczorem zamknięto zapisy do najważniejszego biegu w Krakowie w r. 1893. Do biegu o „wielką nagrodę m. Krakowa“ wyposażoną 12.000 zlr. zapisano 41 koni. Wszystkie najpierwsze stajnie Austro-Węgier mają swych przedstawicieli. Królestwo polskie reprezentuje p. Ludwik Grabowski, którego stadnina znaną jest na całe rosyjskie cesarstwo. Z przyszłych zapaśników zwraca przedewszystkiem uwagę „Espoir“, zwycięzca niemieckiego Derby, nagrody św. Stefana, jubileuszowej i Stolicy, dalej idzie „St Leger“ koń, który w 5 miesiącach przyniósł swemu właścicielowi gen. Kodolitschowi przeszło 120.000 zlr. Następnie spotykamy „Primasa II“, „Gourmanda“, faworyta do austryackiego Derby w następnym roku, „Szelvesza“, jednego z najszybszych koni w Austryi, „War Horna“, jednego z najznakomitszych przedstawicieli ubiegłego sezonu stadniny Comp. D. W. F. „Märchen“, „Nepdal“, Talany“...

Mój Redaktorze! przygotuj już zawczasu szereg portretów „Espoir“, Primasa II“, „Pitylipaty“ i innych bohaterów i bohaterek tego polskiego turnieju, zaangażuj specyalistę do napisania sylwetek i życiorysów ich w „Myśli“, a ręczę Ci, że za lat kilka zawiadomisz świat, iż konie Twoje „Myśl II“ i „Pomysł III“, wzięły wielką nagrodę m. Krakowa: 12·000 złr. Wierzaj mi, że lepiej na tem wyjdziesz, aniżeli na drukowaniu artykułów: „Człowiek-zwierzę“ Brandesa, lub „Il amore desperato“ Kasprowicza. Sądzę, że za radę moją będziesz mi kiedyś wdzięcznym, teraz zaś bywaj zdrów.

St. Błotnicki.

UPIORY.

Fantazya na temat rzeczywistości

napisał

Fr. Rawita.

(Dokończenie).

Chory wsłuchiwał się w te jęki i przekleństwa i w tłum łachmaniarzy, pędzonych siłą niewidzialną, wpatrywał się. A tłum ów przesuwał się przed nim z wyciem szatańskiem, pełnem bólu i rozpaczy i w oczy mu spoglądał i w twarz pluł. Oburzenie to i gniew, pogardy pełen, zlały się w głos jeden.

— Czy myślisz, że krzywdą i rozbojem kupiona wielkość da tobie sławę? Przyjdzie czas lepszy i ludzie lepsi, którzy jak ziarno od plewy oddzielą wartość człowieka od wartości żołnierza, i plewy twego życia przeważą szalę i dostaniesz wyrok potępienia, który cię ogołoci z wieńców, włożonych przez pochlebców. Rzucą ci w oczy zebrane miliony jak my ślinę naszą ciskamy. Wielkość twoją zmierzą miłością i sprawiedliwością, ale nie siłą i potęgą twego ramienia.

Zollenburg w niemej bezwładności leżący widział przesuwający się przed oczyma orszak pędzonych wiatrem zimowym nędzarzy — żaden go nie minął spokojnie: jedni zdobywali się na przekleństwo i ślinę, a drudzy, którym głosu zabrakło, patrzyli mu w oczy tak, jak się na podłych spogląda.

. Kiedy ostatni w twarz mu splunął, Zollenburg, potem zimnym oblany, odetchnął z pewną radością, bo widział, że przeszedł ostatni, który go znieważył.

Obraz począł się zmieniać. Płaszczyznę śniegiem pokrytą oświeciło słońce jarzące, biały płaszcz topniał, odkryło się łono ziemi a okolica cała zazieleniała. Ten widok budzącego się życia napełnił go uspokojeniem. Piersi, rozpierane oddechem, podnosiły się mu wysoko, wciągały w siebie świeżość i aromat wiosny. Wodził więc wzrokiem po słonecznej zielonej płaszczyznie, jakby odpoczywał po wzruszeniach przebytych.

W tem pośród trawy bujnej, tu i ówdzie drzewa poczęły wyrastać, rozmaitej formy, wielkości, ale drzewa nieznane mu wcale, nie widziane nigdy, Wpatrywać się począł w ich ulistnienie bogate, w ich gałęzie mocne, rozłożyste, w ich korony dziwnego jakiegoś kształtu... Nagle przestrach go opanował —

---

się aby dojrzeć jak najdalej i wszystko napróżno.

Około godziny czwartej obóz zaalarmowany został. Czwarty pułk huzarów wracał, dalekie koło zatoczywszy, i z ust do ust coraz bardziej potęgowane krążyć zaczęły opowieści o potyczkach z ułanami pruskimi, co utwierdziło wszystkich w pewności, że atak lada chwila nastąpi.

W dwie godziny później przypędziła sztafeta z wiadomością, że generał Bordas nie może już wracać od Grand Pré w przekonaniu, że odwrót na Vouziers jest przecięty. Dotychczas to jeszcze nie nastąpiło, bo przecież sztafeta przeszła swobodnie, ale fakt mógł się zdarzyć z każdą chwilą i generał Dumont, dowodzący dywizyą, wyjechał natychmiast ze swoją drugą brygadą dla poparcia obrony pierwszej, znajdującej się w niebezpieczeństwie.

Słońce zachodziło za Vouziers, którego dachów linia odrzynała się ostro na dużej chmurze, krwawo czerwonej. Długo, pomiędzy dwoma liniami drzew, można by śledzić wzrokiem brygadę, która zniknęła nareszcie, w zapadających cieniach wieczoru.

Pułkownik de Vineuil osobiście sprawdził pozycyę, jaką zajmował jego pułk na noc. Zdziwił się, że nie zastał na stanowisku kapitana Beaudoin i gdy tenże wrócił właśnie w tej chwili, tłómacząc się, że był na śniadaniu w Vouziers, u baronowej de Ladicourt, szorstką odebrał naganę, której zresztą wysłuchał w milczeniu, z miną karnego oficera, ale też zarazem i przystojnego mężczyzny.

— Moje dzieci — powtarzał pułkownik, chodząc pomiędzy swymi ludźmi — będziemy pewno zaatakowani tej nocy, a już co najpóźniej rano, skoro świt... Bądźcież gotowi i pamiętajcie, że pułk sto szósty nigdy się nie cofał!

Wszyscy wyrazy te przyjmowali z zapałem i wszyscy pragnęli raz nareszcie porządnego starcia, przekładając niebezpieczeństwo walki nad znużenie i zniechęcenie, które ich ogarniało wszystkich, od chwili wyjścia w pole. Zrewidowano karabiny, zmieniono w nich igły. Ponieważ rano była zupa gotowana, wieczorem przeto zadowolono się kawą i sucharami. Wydano rozkaz, żeby się wojsko spać nie kładło. Grangardy zostały wysłane na półtora tysiąca metrów, pojedyncze szyldwachy rozstawiono aż do brzegów Aisny. Wszyscy oficerowie czuwali dokoła ogni obozowych, i chwilami rozróżnić było można przy blasku płomieni, któregokolwiek z tych ogni, pod murem w pobliżu, hafty i naszywki na mundurach naczelnego wodza i jego sztabu generalnego. Cienie przesuwały się, niespokojnie, biegły ku drodze, przykładały ucho do ziemi, chcąc dosłyszeć trucht koni, lub stęp wojska, w śmiertelnej obawie o losy trzeciej dywizyi, która nie wracała.

Około godziny pierwszej po północy, Maurycy postawiony został na straconej pikiecie, na skraju sadu śliwkowego, pomiędzy drogą, a rzeką. Noc była czarna jak atrament. Gdy został sam w przygnębiającej ciszy, snem zmożonych przestworzy, ogarnęło go dziwne uczucie strasznej trwogi, jakiego dotychczas nigdy nie zaznał i którego przezwyciężyć nie był w stanie. Drżał ze strachu, z gniewu i ze wstydu zarazem. Obejrzał się, chcąc dla nabrania odwagi zobaczyć ognie obozowe, ale widocznie kępa jakaś drzew kryć mu je musiała, gdyż za sobą nie dojrzał nic, tylko morze ciemności. Dopiero, gdzieś bardzo daleko błyszczało kilka świateł w oknach domów w Vouziers, którego mieszkańcy uprzedzeni zapewne, i drżący na myśl samą o bitwie, spać się sami nie kładli. Do reszty odwagę mu odbierało to, że złożywszy się do strzału przekonał się, że nawet celownika swego karabina dojrzeć nie jest w stanie. Wtedy rozpoczęło się najstraszliwsze oczekiwanie. Wszystkie siły całej jego istoty skupione w jeden zmysł słuchu, uszy otwarte na niepochwytne nawet szmery, wkrótce doznawać zaczęły

chciał uciec, wzrok oderwąć od widoku drzew i nie mógł...

Drżeć począł. Towarzysze dostrzegli ruch ciała.

— Żyje jeszcze... — szepnął Buldog.

— Żyje... — powtórzył Lis.

Zollenburg miał wprawdzie zamknięte oczy, ale widział.

Widział, że drzewa, w miarę pilniejszego wpatrywania się w nie, przybierały na się coraz wyrazistszą postać człowieczą: korony ich nabierały podobieństwa do głowy, której wiatr włosy rozczochrał, pnie do piersi, wzdętych westchnieniem bolu, konary wyglądały jak ręce wyciągnięte, szukające uścisku,w którymby mogły zdusić kości nienawistnego, a boczne gałęzie wyglądały jak strzępki ubogiej odzieży, ktoremi wiatr chłostał.

Po kilku chwilach cała płaszczyzna pokryła się drzewami, które szumem swoim głosy ludzkie przypominały, których konary poruszały się jak ręce, trzymające miliony wężów, wijących się w powietrzu. Cały ten las drzewa-ludzi kroczył ku niemu, wyjąc, grożąc zmiażdżeniem, stratowaniem...

Rabunku nie było żadnego. Dawni druhowie, przyjaciele, żołnierze znikli kędyś, przepadli — dawniej tysiące mieczów podniosłoby się na jego obronę, dziś — palcem nikt nie skinął.

— Co wy za potwory jesteście? — wrzasnał stając.

— Dzieci twoje...

— Nie mam dzieci... Wy jesteście oszustami, czyhającymi na spuściznę moją.

Zamiast odpowiedzi drzewa zawyły groźnie napół ludzkim głosem.

— Nie poznajesz nas?

— Nie poznaję...

Natężał wzrok i myśl, jakby w pamięci czegoś szukał.

Zdawało mu się, że drzwa podobne są do tych ludzi, którzy w twarz mu plwali. Poznał ich...

Las znowu zaszumiał ludzim głosem.

— Poznałeś przecie... To my jesteśmy — potomkowie tych ludzi, których z ziemi ojczystej wypędziłeś, którą za Judaszowe pieniądze kupowałeś od spodlałych naszych braci, którą frymarczyłeś, obdzierałeś, na której posadziłeś swoich niewolników i sług... Pozbyłeś się ludzi, ale ziemia ich została — ziemia użyźniona ich myślą, krwią, w które przechowała korzenie rozrodcze. Ludzi naszych już tu nie ma, ale duch nasz pozostał, który pzychodzi do ciebie w odwiedziny.

Zollenburg słuchał niemy, milczący, struchlały, jakby się poddawał wyrokom wiecznej sprawiedliwości, które nad jego sumieniem odbywała sądy.

Tymczasem las zbliżać się ku niemu począł; już węże wiszące i wijące się w ręku drzewa-ludzi muskały mu twarz, na której czuł chłodny dotyk ich ciała...

— Czego chcecie?

— Uścisnąć ciebie... dziećmi twojemi jesteśmy przecie — dziećmi nie twego ciała, ale twego ducha... zrodziłeś nas do zemsty.

Pragnął uciekać, ale z miejsca ruszyć się nie mógł. Ramiona drzewo-ludzi obejmowały go, węże okręcały się koło jego szyi, ściskały ją — a on głos stracił z przestrachu... Nareszcie zrobił gwałtowny wysiłek i zawołał:

— Puśćcie mnie!

Obaj towarzysze dostrzegli ruch, a krzyk rozpaczliwy umierającego zamienił się dla nich na szept ledwie słyszalny.

— Brak mu oddechu... w piersi ściska — zauważył Lis.

Na to Buldog odpowiedział ponuro:

— Nie ma ratunku... wszystko kouiec mieć musi.

Zollenburg charczał, na ustach pokazała mu się piana. Ciało jego drgało konwulsyjnie. Wreszcie piana zastygła, drganie ustało. Widma męczące go znikły kędyś, rozwiały się, przepadły. Minęła chwila, jedna, druga, trzecia — nie wracały już. Poczuł się nieco spokojniejszym i myśl budziła się w nim znowu, jakby gwałtowniejszy napływ krwi ją powoływał.

— A przecież życie moje nie przeszło marnie... — uspakajał siebie.

Żaden mu głos nie odpowiadał. Wsłuchiwał się w ciszę nocy i tylko echo powtórzyło mu własne wyrazy:

— Marnie...

— Pracowałem dla potomności, założyłem podwaliny pod wielką budowę, nic nie pragnąc dla siebie...

Dalekie, głuche echo powtórzyło:

— Dla siebie...

— Cała moja praca była tworzeniem tylko a nie rujnowaniem...

To samo echo znowu w jakiejś dalekiej bezdennej, niezmierzonej przestrzeni powtarzało ostatnie słowo:

— Rujnowaniem...

— Do dobrych uczynków wiodły mnie miłość i sława, ale nigdy nienawiść...

Echo wtórowało mu:

— Nienawiść...

Zdawało się, że duch jakiś niewidzialny spierał się z nim i przeczył.

— Nikt mi przynajmniej niezaprzeczy, że zbudowałem potężne państwo, które do końca świata trwać będzie.

Nagle posłyszał chichot obok siebie, dźwięczący pogardą i o uszy jego obiły się wyrazy:

— Wielkie państwo! — Wielkie państwo!

Wyrazy te zlały się z chichotem w głos jeden i rozpłynęły się w powietrzu.

Poczuł jakiś ból w sercu.

— Czyż i ta największa moja praca nic nie warta? Czyż nikt mi nie odpowie co ją czeka? Co?

Zamilkł wzruszony. Nikt mu nie odpowiadał. Wsłuchiwał się w ciszę, wpatrywał się w przestrzeń nieskończoną i zdało mu się, że w powietrzu spostrzegł olbrzymią rękę, trzymającą zapaloną pochodnię, która jakieś ogniste litery wypisywała... Natężył wzrok, śledził każde poruszenie ręki i z liter napisanych złożył się wyraz:

— Zniszczenie...

Cofnął się i jęknął.

Druhowie spojrzeli na niego. Widzieli tylko, że głowa jego schylała się coraz niżej, niżej, niżej na piersi — nareszcie na poduszkę opadła bokiem.

Buldog podniósł się z fotelu, w twarz mu spojrzał, rękę przyłożył do czoła.

— Umarł wielki człowiek — rzekł.

Pociągnął rączkę od dzwonka. Wszedł służący.

Każ wywiesić na zamku czarną chorągiew... Umarł pan nasz... człowiek wielki!..

Zegar ósmą wybijać począł. W tym świecie, który nie był dostępny przyjaciołom, śród ciszy, słychać było protest:

— Umarł człowiek małego ducha, niedalekiej myśli, oschłego serca, żelaznej ręki, mający na ustach imię Boże, a w sercu królestwo szatanów, na którego odrodzona i uwolniona z pod brutalnej siły ludzkość plwać będzie jak plwały cienie, przychodzące do niego w przedśmiertne odwiedziny.

---

wrażenia jakby stałego i ciągłego grzmotu, w oddali huczącego. Szmer wody gdzieś tam daleko się sączącej, szelest lekki liści drzew, skok owadu, nabierały w tym słuchu olbrzymiej doniosłości. A może to galop koni, może tentent artyleryi, pędzącej stamtąd wprost na niego!?.. Przecież na lewo, tuż obok wyraźnie słyszy jakiś szept cichy, głosy przytłumione, awangardę, czołgającą się w ciemnościach, do napadu się gotującą!.. Trzy razy już o mało co nie wystrzelił na alarm, a obawa pomyłki, ośmieszenia się, okazania swej trwogi, zwiększała tylko jego niepokój i cierpienia. Przyklęknął, lewe ramię o drzewo opierając. Zdawało mu się, że już tak stoi wieki całe, że o nim zapomniano, że cała armia poszła sobie precz i jego tu zostawiła. I nagle strach gdzieś zniknął, a on usłyszał wyraźnie, bardzo wyraźnie na drodze, wiedząc, że stoi od niej o dwieście metrów, równe kroki wojska w marszu. Od razu miał tę pewność, że są to owe wojska z niebezpieczeństwa wydobyte i tak niecierpliwie oczekiwane, że to generał Dumont prowadzi do obozu brygadę generała Bordas. W tej chwili przyszedł kapral zmienić go na stanowisku... warta jego nie trwała ani minuty dłużej nad czas regulaminem oznaczony.

W istocie wojsko, którego kroki Maurycy usłyszał, była to trzecia dywizya, wracająca do obozu. Ulga to była moralna dla wszystkich olbrzymia. Ale pomimo to ostrożności zdwojono, gdyż przywiezione wieści potwierdzały wszystko, co już dotychczas niby na pewno wiedziano o zbliżaniu się nieprzyjaciela. Kilku jeńców przyprowadzono, kilku ułanów o twarzach ponurych, ale ci, owijając się w wielkie swoje płaszcze, milczeli i słowa jednego wyciągnąć z nich nie było podobna. I pierwszy brzask, jutrzenka szaro zielonawa ranka dżdżystego weszła, wśród niepokoju ogólnego, ciągle trwającego i niecierpliwością rozstrajającego nerwy wszystkich. Od czternastu godzin ludzie ci nie zmrużyli oka. Około godziny siódmej porucznik Rochas opowiadał, że Mac-Mahon się zbliża z całą swoją armią. Prawdą w tem było to, że generał Douay odebrał od marszałka list, zalecający mu, aby się trzymał do ostatka, całemi siłami aż do chwili, w której posiłki mu nadesłane zostaną.

Rozkazy wydano: korpus pierwszy posunąć się ma ku Terron, korpus piąty ku Buzancy, dwunasty zaś ma pozostać w Chêne i drugą linię stanowić. W obec tego niepokój wzmógł się jeszcze bardziej. Więc to już nie prosta potyczka, ale walna bitwa, w której udział przyjmie cała armia, ściągnięta od Meuzy i maszerująca obecnie ku południowi w dolinie rzeki Aisny. Nie śmiano więc już gotować gorącej strawy i ludzie znowu jedli suchary i popijali je kawą, bo starcie będzie o południu. Wszyscy tak twierdzili, a nikt nie wiedział dlaczego. Jeden z adjutantów wysłany znowu został do marszałka, celem przyśpieszenia wysyłki posiłków. zbliżanie się bowiem dwóch armij nieprzyjacielskich zdawało się już teraz niewątpliwem. W trzy godziny później jeszcze jeden oficer popędził cwałem do Chêne, gdzie musiała się znajdować główna kwatera, z żądaniem wykazów co robić wypada, tak bardzo niepokój się zwiększył, na skutek wiadomości, przyniesionych przez jednego z merów okolicznych gmin, który twierdził, że widział na własne oczy sto tysięcy wojska w Grand Pré i drugie sto tysięcy, które spieszyły przez Buzancy.

W południe jednak prusaków ani widać!.. O pierwszej, o drugiej nic jeszcze!.. Nic i nic!.. I nadeszło znużenie i nowe wątpliwości. Głosy z różnych stron się odzywały z drwinami i z wykpiwaniem generałów. A może się wylękli cienia własnego na murze się czerniącego!.. Okulary im trzeba zafundować!.. To doprawdy głupie żarty!.. niepokoić takie masy narodu dla jakichś tam przywidzeń!.. Jakiś dowcipniś krzyknął:

— To znowu będzie tak jak pod Milhuzą!.

Z LITERATURY I SZTUKI.

Wiedeń, 14 grudnia 1892.

(Koresp. „MYŚLI".)

(Plagiaty. — „Musotte" — „Gefallene Engel". — „Orientreise".)

W Niemczech od kilku lat każdy sezon przynosi jakieś sensacyjne odkrycie literackiego plagiatu. To znakomitemu muzykowi zarzuca się, że użył obcych motywów i pomysłów, to libreciście — zwłaszcza, jeśli tantiemy są znaczne — udowadnia się, że najdowcipniejsze ustępy zabrał mniej szczęśliwemu rywalowi, to wreszcie romansopisarzowi wytyka się nie tylko naśladownictwo, ale wprost kradzież. Znaną jest smutna historya rewelacyi Hedricha, który po śmierci Meissnera wystąpił z pretensyami do jego rodziny, aby go uznano autorem wielkiej części dzieł zmarłego poety. Hedrich udowadniał, że był nie tylko współpracownikiem Meissnera, ale że pomysł, osnowa i wypracowanie głośnych kilku jego romansów były wyłączną Hedricha robotą. Hedricha pretensye nie mogły być uznane całkowicie, gdyż po śmierci Meissnera nie było świadków, którzyby współpracownictwo to do należytej sprowadzili miary a opinia publiczna stanęła po stronie zmarłego poety, nie chcąc przypuszczać, aby autor epicznego poematu „Ziżka" i znanych lirycznych wierszy w powieściach swoich zawdzięczał wszystko jakiemuś nieznanemu fejletoniście.

Świeżo w Wiedniu wrzawy narobił w świecie muzykalnym podobny spór o autorstwo baletu: „Wiener Walzer". Balet ten grany był na kilku scenach niemieckich i w wiedeńskiej operze z wielkiem powodzeniem. Autor wielu libretów operetkowych: Kamillo Walzel, znany pod nazwiskiem F. Zell, członek spółki literackiej Zell & Genée, której ostatni tekst „Wujaszek milionowy" z muzyką Müllera święci w teatrze nad Wiedenką wielkie tryumfy, ogłosił był w organie Wiktora Silberera: „Allgemeine Sportzeitung", artykuł, oskarżający inspektora opery Franciszka Gaula, który z Flappartem i Bayerem figurowali dotychczas jako autorowie baletu „Wiener Walzer" o przywłaszczenie sobie pomysłów i barona Bourgoing i Edwarda Kremsera. Przyszło do procesu o obrazę honoru; Kamillo Walzel odwołał swoje oskarżenia i stwierdził przed sądem, że po rozpatrzeniu się w materyałach postawionych mu do dyspozycyi przez Gaula, przekonał się, że w balecie nie korzystano z obcej pracy. Na tem sprawa przed sądem skończyła się.

Ale nie skończyła się ona dla publicystyki. „Wiener Tagblatt" na podstawie informacyi, udzielonych przez Kremsera i bar. Bourgoing przyniósł obszerny artykuł, w którym opowiada, że pomysł do baletu zrodził się jeszcze w r. 1883, że w pałacu Rotszylda Borgoing i Kremser wypracowali trzy obrazy muzykalne, przedstawiające historyę muzyki ludowej w Wiedniu w początku bieżącego stulecia, że wszystkie te typy muzykalne były przedmiotem wielu konferencyi, i po ostatecznej redakcyi balet „Wiener Walzer" przedstawiony był przy udziale panny Pagliero i p. Nunciante w małej sali towarzystwa muzykalnego 10 stycznia 1884. P. Gaul o tyle tylko był podówczas w związku z tym baletem, że uproszono go o wypożyczenie kostjumów z opery.

Przedstawienie zrobiło wielkie wrażenie i baron Hofmann, ówczesny intendent opery odkupił prawo wystawienia baletu za 1000 złr. W rok potem Gaul i Flappart wystawili swój balet „Wiener Walzer", który w najdrobniejszych szczegółach zdradza swoje pochodzenie....

P. Gaul zaprzeczył wprawdzie prawdziwości tego opowiadania, ale baron Bourgoing i Ed. Kremser, potwierdzili w całej osnowie wiadomość, podaną w gazetach i — przyjdzie zapewne do ponownego roztrząsania kwestyi przed sądem, tą razą jednak nie o obrazę honoru, ale o tantjemy, które mają być dość znaczne.

Trudność zdobycia stanowiska w literaturze czyni w Niemczech życie dramatyków, librecistów i rękodzielników operetkowych coraz nieznośniejszem. Wychowani na bajkach o milionach Offenbacha, chcieliby złote zamki posiąść a napotkawszy na wyjałowioną, niewdzięczną glebę dzisiejszych teatrów, ich dyrekcye, artystów i publiczność, wydzierają sobie wzajem kęs chleba z ust.

We Francyi inne pod tym względem i lepsze jeszcze stosunki. Autorowie dobrze o tem wiedzą, że nie ma pomysłów nowych, że jest tylko dziś robota, mise en scene i mniej, czy więcej, dobra gra aktorów i śpiewaków — a wreszcie i humor i usposobienie publiczności zależne czasem od politycznego wypadku. Wiedzą, że gra i scenerya więcej dziś znaczą niż dramat i mało kto kusi się o laury twórcy nowego kierunku. Obniżenie poziomu literackiego w teatrze jest faktem, na który się bez walki pisarze dramatów godzą.

W Wiedeńskim Volksteatrze stwierdziło się to na ostatniej nowości, granej raz jedyny: na dramacie Guy de Maupassanta: „Musotte". Maupassant wybrał jedną ze starych figur teatralnych paryskich, i uczynił ją bohaterką dramatu. Nie bał się, ze mu ktoś wykaże pokrewieństwo jego Henryki Leveeque (Musotte), z Denizami, Margeritami i Gilbertami. Jego bohaterka ma zresztą pewną wybitną cechę idealizmu, która ją korzystnie wyróżnia od dam kameliowych. Musotte jest nędzną w biedzie wyrosłą dziewczyną, która oddaje się w miłości malarzowi Janowi Martineau, służąc mu za model. Kocha ona, ale nie sprzedaje się. Jan jest dla niej szczytem marzeń, spełnieniem pragnień życiowych. Jemu byłaby wierną do ostatniej chwili życia, ale on, malarz, człowiek klasy zamożnej, zapomina o niej i wiąże się z siostrą przyjaciela Gilbertą Petitpré. Gilberta jest niewinną dziewczyną, która nie zna miłości, wykraczającej za granice obowiązku, obyczaju, przepisu rodzinnej tradycyi. W tej walce dwóch kobiet o serce malarza zwycięża nie namiętność, która uszlachetnia się szczerością i wiernością, ale miłość, nieświadoma jeszcze swych praw, która urość ma w poświęcenie, w namiętne bez granic uczucie.

W dzień ślubu dowiaduje się, że opuszczona przez niego Musotte leży śmiertelnie chora, porodziwszy przed dwoma tygodniami dziecko! Spieszy więc do swej kochanki, aby się z nią raz jeszcze zobaczyć. O tę wizytę, o przedstawienie umierającej Musotte chodziło przedewszystkiem autorowi. Była to nie jedna scene à faire, jakiej domagają się w Paryżu, ale był to cały akt. W Wiedniu, mimo gry panny Sandrock, nie chciano tego aktu przyjąć z tym zapałem, na jaki liczyła dyrekcya teatru. Za wiele widziano umierających bohaterek w ostatnich kilku tygodniach. Ani poza aktorki na dywanie leżącej z wyrazem szklannym oczu, z rozpaczliwą rezygnacyą oczekującej przybycia kochanka, ani toaleta z najlepszej pracowni stolicy zamówiona, której wynalazkiem panna Sandrock walczy o lepsze z paryskiemi przedstawicielkami ani wreszcie sama śmierć Musotte, kurczowo ściskającej niewiernego kochanka i proszącej słowami czułemi przebaczenia, aby nie zapomniał swego dziecka, — nie mogły wywalczyć powodzenia sztuce. Oklaskiwano aktorkę — ale zachowano się zimno w obec dramatu. A zakończenie konwencyonalne sztuki, przy-

---

Serce Maurycego ścisnęło się na te słowa... Pamięć owego strasznego dnia odezwała się w nim boleśnie... Przypomniał sobie tę idyotyczną ucieczkę, tę panikę, ktora poniosła cały korpus o dziesięć mil dalej, chociaż nikt niemca ani jednego nie widział, bodaj na lekarstwo!.. I oto taka sama awantura rozpoczyna się na nowo!.. Teraz miał on już poczucie tego jasne i wyraźne, pewność zupełną!.. Jeżeli nieprzyjaciel ich nie atakuje w ciągu dwudziestu czterech godzin po starciu w Grand Pré, to widocznie czwarty pułk huzarów napotkał po prostu jakiś silniejszy trochę rekonesans kawaleryi i nic więcej. Kolumny muszą być jeszcze daleko, może o cały dzień albo dwa marszu. W jednej chwili myśl ta do rozpaczy go doprowadziła. Ileż to czasu straconego bezużytecznie!.. W ciągu trzech dni nie zrobiono nawet dwóch mil francuskich od Contreuve do Vouziers!.. Dnia dwudziestego piątego inne korpusy armii posunęły się ku północy, pod pozorem zaprowidowania się w żywność i oto teraz, dwudziestego siódmego wracają znów ku południowi dla przyjęcia bitwy, której nie mają z kim stoczyć. Tak samo jak czwarty pułk huzarów, w ślad za nim brygada generała Bordas ze strachu o siebie, pociągnęła za sobą dywizyę, potem siódmy korpus, wreszcie armię całą bez żadnej potrzeby!.. I Maurycy myślał i rozważał nieocenioną wartość każdej godziny, do wykonania tego szalonego planu, dążącego do połączenia się z Bazainem, planu, który mógłby być wykonanym, ale chyba przez jakiego genialnego wodza, z wojskami doskonale wyćwiczonemi, przy konieczności marszu forsownego, jak burza, wszelkie przeszkody łamiąca!..

— Dyabli nas biorą!.. — rzekł wreszcie do Jana w przystępie rozpaczy, jaką w nim zrodziła nagła i błyskawiczna chwila jasnowidzenia.

Potem, gdy kapral szeroko oczy otworzył, nie mogąc zrozumieć o co idzie, prawie pół głosem, jakby sam do siebie mówił dalej:

— Nie tyle źli co głupi ci nasi wodzowie!.. To pewne!.. a przytem szczęścia za grosz!.. Nie wiedzą nic, nie przewidują nic!.. Nie mają ani planu, ani idei przewodniej, ani nawet szczęśliwych trafów!.. Koniec już wszystkiemu!.. Wszystko się przeciw nam spiknęło!.. Dyabli nas biorą i wezmą!..

To samo zniechęcenie, które Maurycy, jako chłopiec inteligentny i wykształcony wyrozumował sobie, ogarniało i powoli lecz z każdą chwilą coraz cięźej zapadało na całą masę wojska, unieruchomionego w tem przejściu i oczekiwaniem zgnębionego. Pocichu, głucho, zwątpienie, przeczucie rzeczywistego stanu rzeczy rozwijało się i szerzyło wśród tych mózgownic ciasnych i twardych. Wkrótce nie było już ani jednego człowieka, nawet najbardziej ograniczonego, któryby nie miał smutnego przeczucia, że jest źle prowadzony, powstrzymywany bezpotrzebnie, chociaż żaden z nich nie był naprawdę w stanie powiedzieć, skąd się w nim bierze to przekonanie bolesne!.. Cóż u licha tu robimy... Boże Wielki... Kiedy prusacy nie przychodzą?.. Od chwili, gdy ostatni adjutant odjechał po rozkazy, niepokój ów wzrastał z każdą minutą, tworzyły się wśród wojska grupy, rozmawiające głośno, dysputujące... Oficerowie, którym się to samo uczucie udzieliło, nie wiedzieli co odpowiedzieć żołnierzom, którzy im pytania zadawać się ośmielali!.. To też o piątej, gdy adjutant wrócił i gdy znowu zwinąć linie rozkazano, ze wszystkich piersi wydobył się okrzyk radości, tchnienie ulgi istotnej.

Nakoniec więc stronnictwo rozsądku zwycięża!.. Cesarz i Mac-Mahon, którzy nigdy nie pochwalali tego marszu na Montmédy, dowiedziawszy się, że ich znowu uprzedzono i że mają przeciw sobie armię księca saskiego i księcia następcy tronu pruskiego, porzucają nareszcie niewykonalny plan, połączenia się z Bazainem i cofają się przez fortece północne, tak, aby się ostatecznie wydostać pod Paryż.

(Koniec V. rozdz.

jęcie dziecka osieroconego w opiekę przez Gilbertę, nie mogło podnieść wrażenia. Nie zrozumiano tendencyi autora francuskiego, który w „Musotte“ nakreślić chciał obraz nędzy — nie moralnej, ale — społecznej. Natomiast, nie bez racyi zarzucono dramatowi jego budowę, wprowadzenie bohaterki na scenę w jednym tylko akcie. Publiczność chce postać, około której obraca się cała akcya, widzieć dłużej.

Dla tego „Musotte“ upadła a inny dramat, który pokrewny przedstawia temat rehabilitowania uwiedzionej kobiety, utrzymał się w tym samym teatrze i ściąga od dłuższego już czasu licznych widzów.

Dramat ten („Gefallene Engel“) napisał nieznany dotychczas autor, ukrywający się pod pseudonimem: Richard Nordmann.

W „Gefallene Engel“ jest pewna werwa dramatyczna i siła charakterystyki, przypominająca utwory Anzengrubera. Autor kreśli rodzinę wiedeńską, urzędnika biednego, oszukiwanego przez żonę i córkę, która w 16 roku życia padła ofiarą bogatego uwodziciela i przez całych piętnaście lat czeka na spełnienie jego przyrzeczenia, że ją poślubi i ślubem uzna, że jest ojcem jej dziecka. Postać tego uwodziciela drastycznie została skreśloną i każdemu wiedeńczykowi przypomina typy oglądane w życiu codziennem. Na niczem mu nie zależy, żadnej niema ambicyi, żadnego nie słucha głosu uczucia. Matka jego dziecka, Joanna, jest jeszcze piękną i radby przedłużyć z nią stosunek — a kiedy ojciec jego umiera, wspaniałomyślnie gotów się nawet z nią ożenić, bo nie ma już powodu obawiać się gniewu rodziców na związek z biedną dziewczyną. Tymczasem znalazł się jednak idealista, który go wyręczy, zakochawszy się w Joannie. Ale nie tylko historyę uwiedzionej Joanny przedstawił autor. Uwydatnił on też powody jej upadku, lekkomyślną gospodarkę jej matki, która zawsze potrzebuje więcej, niż mąż zarabia i córki nie wychowuje do żadnej pracy zawodowej, ale wmawia w nią, że przeznaczona jest do królowania w salonach, bo jest piękną. Pod naciskiem tej nawskróś zepsutej kobiety, Joanna zaprawia się do kłamstwa, w obec własnego ojca i wychowuje u rodziców swą córeczkę Linnerl, opowiadając, że to dziecko krewnej. Ale w zatrutem otoczeniu Linnerl już jako uczennica konserwatoryum nauczyła się marzyć o romansach i schadzki miewa z baronami ulicznymi. Widzimy potem tę młodą dziewczynę w salonie rajfurki pani Hochenberger w hucznem towarzystwie pijącą szampana, w sytuacyi nader niebezpiecznej, nad brzegiem przepaści, już, już zataczającą się w odmęty życia, z których nie ma powrotu. Matka Joanna w sam czas przybywa, aby ją uratować. Ale odwleka tylko nieszczęście. Linnerl pod koniec sztuki ucieka z fałszywym baronem i musimy poprzestać na przyrzeczeniu jego brata, (który jest owym idealistą, kochającym się w Joannie), że wymusi legalny związek zbiegłej pary. Dramatyczna sprawiedliwość wymagała także, aby ojciec całej rodziny tak srodze oszukiwany przez lat dziesiątki, dowiedział się w końcu o wszystkiem. Dowiaduje się więc i — w napadzie wściekłości niszczy sprzęty w pokoju, rzuca się na żonę, chcąc ją udusić, a wreszcie pada, tknięty paraliżem. Joanna podchodzi ku zgnębionemu moralnie i fizycznie starcowi, dźwiga go i bierze w swoje ramiona.

Obok nich stoi niemy świadek, człowiek, który pragnie wszystko naprawić, co inni zawinili, przyszły mąż Joanny.

Mimo wielkiej drastyczności w malowaniu szczegółów za wiele optymizmu w tym dramacie. Takich idealistów, jak Ricki de Zirbitzer, klasa kupieckiego mieszczaństwa nie wydaje.

Poglądy tej warstwy są zanadto konserwatywne, ich trwożliwe oglądanie się na opinię nadto wybitne, aby ktoś uwierzyć mógł w tę wspaniałomyślną rehabilitacyę Joanny.

Lepiej warstwę tę Kommerzienratów — nie wiedeńskich wprawdzie — oddali Blumental i Kadelburg we farsie: „Orientreise“, wystawionej pierwszy raz niedawno w Berlinie a zaraz potem w wiedeńskim „Deutsches Volkstheater“ (29go prz. m.) W komedyi tej nie idealizuje się nikogo. Poczciwy kupiec Fiedler jedzie z żoną do Konstantynopola. Z drogi, żona, znużona przyjemnościami podróży, wraca do domu. Fiedler żałuje karty kupionej — i sprzedaje ją malarce Sarze Cartoldy, kobiecie z fantazyą, która takie płata figle, jakich tylko potrzeba komedyopisarzom, ani na chwilę nie zapominając o pewnej granicy, która kobietę bardzo a bardzo wesołą a nawet podejrzaną wskutek tej wesołości oddziela jeszcze zawsze od kobiety zepsutej. Ta Sara uchodzi za żonę Fiedlera, gdyż tak opiewa list. Wszystko dobrze by się skończyło, gdyby para nie dostała się w niewolę rozbójników w Rumelii. Piszą o tem gazety i pani Fiedler i jej rodzice w Berlinie ze zgrozą dowiadują się o wiarołomstwie rzekomem męża i syna.

Pani Fiedler kryje się, aby jej znajomi nie dowiedzieli się o jej hańbie, jedzie naprzeciw męża, gotowa wszystko znosić, byle uniknąć złych języków. Ale sytuacya się nagle zmienia. Zjawia się turek Mitrowicz, któremu Sara robiła przez żart oświadczenie miłosne w Berlinie i szuka pani Fiedler. Przychodzi telegram, że pani Fiedler spędziła noc jedną w haremie! Co to za materyał na plotki salonowe. Rozpacz niewinnej żony Fiedlera i jej rodziców dochodzi do szczytu, gdy w tem przyjeżdża artystka Bertoldy i wszystko wyjaśnia.

Trudno wprawdzie wierzyć we wszystkie te zawikłania, ale jest bezsprzecznie wiele prawdy w skreśleniu typów filisterskich: Fiedlera, jego żony i teściostwa. Farsa podoba się, bo jest wesołą.

Kiedy przesadzać, to choć wesoło!

Dr. H. M.

RUDOLF J. KRONBAUER.

PAMIĘTNIKI SEKUNDARYUSZA.

Z czeskiego przełożył Wojciech Szukiewicz.

(Dokończenie).

Poszedłem na palcach do łóżka.

„Nie widzisz nic? — spojrz tylko na okno,— jeszcze nic nie widzisz? Ale musisz widzieć — takiego obrzydliwego ptaka. Przedtem krzyczałam przez sen z boleści, gdyż zleciał do mnie na łóżko, wbił swój dziób w mą głowę i odleciał a wiesz, co miał w dziobie? Ziarnko z mego mózgu. Krzyczałam, prosiłam, płakałam i broniłam się ze wszech sił, ale nikt nie przyszedł odegnać drapieżnego ptaka, a ja zostałam okradziona o część kapitału myślowego. Jakiż to dziwny ptak — oczy ma żółte jak siarka, czarne pierze i dziób ostry jak igła. Proszę cię — odpędź go — czyż jeszcze niczego nie widzisz? Po co właściwie przyszedłeś? — widzisz, gdybyś go był odpędził — a tybyś go mógł odpędzić, gdyż ciebie się nieco obawia — jabym się go więcej nie bała, onby więcej nie przyleciał i widziałbyś, jakbyśmy byli razem szczęśliwi. A jeżeli go nie odstraszysz, przyjdzie jutro znowu i ukradnie mi ziarnko, przyjdzie co dzień i co dzień odleci z obfitym łupem, aż będę mieć próżną czaszkę — a temu będziesz winien tylko ty — słyszysz, tylko ty, a tego będziesz tylko ty przyczyną, jeżeli nie będziemy ze sobą szczęśliwi“.

Słuchałem, że tak powiem, z wytrzeszczoną duszą. To straszny sen, wciskający się w moje serce jak obosieczny sztylet. Co ja tylko przypuszczałem, to powiedziało mi obecnie to dziecię jasno i wyraźnie. Dziewczyna domyśla się czegoś, coś rozkwita w jej sercu — lecz jestto wobec mego ogniście płonącego kwiatu skromnym i nieznacznym rozkwitem. Coś błysnęło w jej pomięszanym mózgu, co już tak dawno niepokoi moje wnętrze. Nie wiedziałem, że oczy, że twarz dawno już zdradziły, co się działo w mem sercu. Dręczy się i trapi, oddaje się nadziei, że wyrwie się z objęć strasznej choroby. Ma nadzieję, a nadzieja ta połączona jest z zaufaniem we mnie.

„Uzdrowimy ją, musimy ją wyleczyć“, szepczę z naciskiem, jakbym składał przysięgę.

Chwila ciszy. Dziewczę spało znowu cicho i spokojnie.

„A czy ty mnie kochasz?“ słyszałem calkiem wyraźnie.

„Tak, tak, drogie dziecię“, zawołałem...

Napiszę to, ponieważ to szczera prawda.

Pocałowałem ją w usta — ukradłem ten pocałunek. Dopuściłem się czegoś podobnego jak ten ptak. Jesteśmy obaj złodzieje — tylko że ja obróciłem jego łupież na swą korzyść. Są ludzie łupiący najchętniej przy pożarach, gdy są pewni...

Nie wiem, jak długo siedziałem przy jej łóżku. Zaczęło świtać, kiedy zgasiłem lampę. Wyszedłem cicho, na palcach z pokoju. Wiedziałem już dla czego się czołgam tak przezornie. Nie spełniałem swego obowiązku — przeciwnie, mocno przewiniłem.

Nie wytrzymałem w swoim pokoju ani dziesięciu minut. Musiałem się orzeźwić świeżem powietrzem, żeby nie stracić zmysłów. Chodziłem po ogrodzie blisko przez dwie godziny. Biła szósta, kiedy wracałem do domu.

Wszystko dotychczas spało.

* * *

Siadłem przy stole, sparłszy głowę w ramionach. Czułem się już o wiele spokojniejszy. Świeży chłód jesiennego ranka ochłodził me skronie i odświeżył myśli jak rosa zwiędłe kwiaty. Lecz nie ręczę za to, czy wszystkie myśli, przepływające jak bystry potok przez mą głowę, były jasne i rozumne. Co chwila zbiegały się w jedno miejsce, jako liście porywane wirem na powierzchni jeziora.

Myślałem o swem dotychczasowem życiu. Kwiecistej pamiątki, uwitej przez szczerą, gorącą miłość, nie mam. Serce moje, to bezgwiezdne niebo! A kiedy wreszcie na jego horyzoncie zapłonęła pierwsza, jasna i błyszcząca — wnet spadła na dół.

Patrzę na fotografję.

Do kogo przemawia to czarujące oko, przez które wyziera trwożliwa dusza z tak wymowną prośbą, wnosząc wpływ swego ponętnego ciała i prosząc o miłość, czystą jak gwiazda?“

„Takiem okiem u niej jest jej choroba“, powiedziałem głośno a głowa opadła mi na dół pod ciężarem tej strasznej myśli.

Dla czego na Boga myśli moje zwracają się ustawicznie na ten sam przedmiot?“

Co to znaczy?

Głowa opadła mi calkiem na stół — nie zdolna do żadnej myśli. Nie śpię, ale i nie czuwam. W głowie czuję huk podobny do dźwięku odległych dzwonów. Nagle zdaje mi się, że słyszę calkiem wyraźnie dzwonienie pogrzebowe.

Był to ranny sygnał.

Na wpół się obudziłem i słucham czystych uderzeń dzwonu. Jak te dzwony smutnie dźwięczą! —

Zasnąłem twardo.

W tem poruszył ktoś mem ramieniem.

„Przepraszam pana doktora — słyszę głos dozorczyni — mam poważne obawy o pannę

Emilję". Wymówienie tego imienia całkiem mnie wytrzeźwiło.

„Cóż się stało?" — pytam z przestrachem.

„Właściwie nic nadzwyczajnego, lecz mimo to chciałabym, żeby pan sekundarjusz o tem wiedział. Rano, zaraz po wstaniu, poszłam jek zwykle do panny Emilji. Sprzątam przez chwilę. Panienka spała spokojnie, że radość było na nią patrzeć. Ktoby na nią patrzył, nie wierzyłby, że jest chora. Z rozpuszczonemi włosami wygląda jak rusałka. Człowiek, którvby ją kochał, musiałby sam dostać obłąkania z powodu jej nieszczęścia. Właśnie układałam jej czystą bieliznę na stołku, gdy się poruszyła na łóżku i obudziła.

„Dobre rano, panienko", pozdrawiam ją serdecznie.

Nie odpowiada i ze zdziwieniem rozgląda się w koło siebie jakoby czego szukając.

„Gdzież mój narzeczony?", pyta się naraz na wpół z płaczem.

„Kto taki, panienko?"

„No, kto? — mój narzeczony".

„Narzeczony — a któż to jest panienko?"

„Któż inny, jeżeli nie doktor", powiedziała już trochę ze złością, „siedział tu przy mnie całą noc, całując mnie w usta i oczy".

„Ależ Jezu mój — cóż to panience przychodzi do głowy? Coś się pannie przyśniło. Niech no się panienka ubierze i umyje a sama zobaczy, jak żywy miała sen, a cóż dopiero pan doktor, ten się dopiero uśmieje jak się o tem dowie".

„Nagle zaczęła panna Emilja zanosić się od płaczu. Nie wiedziałam poprostu, co z nią zrobić. Nareszcie udało mi się uspokoić ją na tyle, że się uciszyła i przestała całkiem płakać. Teraz siedzi przy oknie smutna, zapłakana i zachmurzona".

Chwytałem chciwie każde słowo. Teraz na mnie przyszła kolej, nie wiedzieć, jak należało sobie postąpić. Bałem się iść do chorej — wiem dobrze, iż by przyszło do jakiegoś miłosnego wybuchu z jej strony. Każdyby wprawdzie powiedział, że to chorobliwy paroksyzm, codzienny i zwyczajny — ale ja nie mógłbym tego powiedzieć. Moje sumienie nie było czyste.

Cóż tedy?

Dozorczyni czeka, przypuszczając, że pójdę z nią zbadać stan chorej. Co tu zrobić.

„To nic nie jest", powiedziałem obojętnym głosem, opanowując wzruszenie. „Idźcie do niej i zostańcie aż do wizyty. Rozporządzę, żeby was przy śniadaniu zastąpiła którakolwiek dozorczyni z drugiego oddziału".

Dozorczyni odeszła.

Z wysilenia i znużenia upadłem bezwładnie na krzesło. To już było nad moje siły. Czyż jestem winien jej paroksyzmu? Ja obudziłem w jej sercu namiętność, którąby ją mogła zabić. Cichy i spokojny jej umysł, nie skalany inną myślą jak wspomnieniami i tęsknotą za domem, wzburzyłem swem nieopatrznem i nieprzebaczonem postępowaniem, jak burza gładką powierzchnię jeziora. Serce jej było dotychczas nieskalane i czyste, jako kwiat lilji. Teraz wleciał weń motyl, który pyłem swych skrzydeł splamił alabastrowe jego ściany i odleciał. Niejasna i nieświadoma namiętność w jej sercu, będzie olejem, przylewanym do ognia obłąkania.

„Czyż jestem winien, albo nie winien?"

Jakiś głos wewnętrzny odpowiedział na to straszne pytanie zasadniczo. Myśli mej głowy były jak palące iskry, rozlatujące się na wszystkie strony. Lica moje paliła gorączka, czoło było zimne i suche. Mózg mój znajdował się w podobnym stanie, jak ciało po wysilającej i nużącej pracy. W którą stronę spojrzałem, wszędzie widziałem ciemność.

W takim stanie spędziłem do dwóch godzin. W tem wszedł dyrektor.

„Co to? — jesteś pan niezdrów?", spytał, przestraszywszy się mego widoku.

„Rzeczywiście — nie wolno mi, panie dyrektorze", wybąkałem z trudnością.

„Połóż się pan, odbędziemy wizytę, a jeźli będzie trzeba, zatrzymamy się i u pana", powiedział, wychodząc na korytarz.

Odetchnąłem. Nie muszę iść do niej, przynajmniej nie dziś i z nimi. Pierwsze wrażenie byłoby straszne. Pójdę do niej po południu — może jej będzie lepiej a może zapomni o wszystkiem.

Za małą godzinę wrócił dyrektor.

„Panie kolego, bądźcie tak łaskawi zaglądać częściej do panny Emilji", powiedział poważnie i z troską.

„Dobrze, panie dyrektorze".

„Ta biedaczka nie wytrzyma długo. Nie spodziewałem się doprawdy, że to u niej tak naraz wybuchnie".

Wytrzeszczyłem na dyrektora oczy.

„Cóż on to powiedział? Wszechmocny Boże — to nie prawda, to nie możliwe. — A cóż, jeżeli tak jest istotnie? Dyrektor mało się kiedy myli — dzisiaj wystąpił u niej pierwszy paroksyzm, zapowiedź zupełnego, całkowitego zaciemnienia umysłu. Ja ją zabiłem....

Godziny, z których każda była dla mnie krzyżową drogą, płynęły tak strasznie jednostajnie i trwały całą wieczność. Nie wiem, co się mi stało, lecz przez chwilę chciałem w bezrozumnym, chorobliwym szale zerwać zegar ze ściany. Fotografja, stojąca na stole, podrażniła mnie swym ku niebu zwróconym okiem. Obróciłem ją twarzą do ściany. „Co się z tobą dzieje", powiedziałem cynicznie, „kiedy każdy o tobie zapomina. Nawet służba nie zwróciła na ciebie uwagi. Patrz sobie na ścianę i ukazuj swym wzrokiem drogę do nieba". Podszedłszy do okna, zauważyłem, że fotografja spogląda właśnie przez środkowe okno w niebo.

W południe przynieśli mi obiad.

„Odnieście to, nie będę jeść", powiedziałem tak szorstko, że służąca spojrzała na mnie z przestrachem.

Po południu przypomniałem sobie, że już kilka dni nie paliłem. Skręciłem więc papierosa i paliłem namiętnie jak zbrodniarz w ostatnią noc przed egzekucją.

Stałem prawie ciągle przy ścianie, oddzielającej mnie od pokoju Emmy. Było tam dziwnie cicho.

Zadzwoniłem na dozorczynię.

„Co słychać z panną Emmą?"

„Nie wiem, co mam odpowiedzieć. Obiadu nawet nie tknęła. Siedzi przy stole i patrzy uparcie w drzwi, jak gdyby kogo oczekiwała.

„Możeby tak zajrzeć do niej", zauważyłem, a na myśl o niej o mało się nie rozpłakałem.

Ze dwadzieścia razy brałem za klamkę, chcąc pójść do niej, lecz brakowało mi energii.

Zawsze wracałem, chodząc dalej po pokoju i paląc namiętnie.

Nareszcie doczekałem się wieczora. Dozorczyni przyszła zapalić lampę.

„Nie trzeba", powiedziałem. „Idę do miasta — przyjdę dopiero o północy".

* * *

Zdawało mi się, że za murami zakładu jest mi wolniej. Biegłem szybkimi krokami przez ulicę, nie wiedząc, dokąd idę. Tęskniłem za twarzami ludzkiemi, aby nie zostawać ustawicznie ze samym sobą. Wpadłem do pierwszej napotkanej po drodze piwiarni. Nie wiem, kto tam był, jak i czem się kto bawił — siedziałem w kącie przy samych drzwiach, jakby jaki włóczęga. Co tam właściwie robiłem, nie wiem. Może rozmyślałem, może nie rozmyślałem wcale. Może być, że spałem.

Kiedy się zbudziłem ze swego snu letargicznego, była już północ. Piwo stało przedemną nietknięte tak, jak je przynieśli.

Mechanicznie, jak machina wlokłem się zwolna do domu. Byłem, że tak powiem, martwy na duchu, tylko ciało jako tako wykonywało swą funkcję. Stary odźwierny, otwierając mi bramę domu, rzekł w najlepszej myśli: „Byłby już czas, żeby się pan doktór trochę rozerwał."

„Dobranoc, dziadku", powiedziałem machinalnie, bo tak robiłem zawsze.

Idąc przez ogród, poznałem natychmiast po migocącem świetle olejnej lampki pokój Emmy.

„Dzisiaj nie pójdę do niej", pomyślałem, przypominając sobie z jakiemś mrożącem uczuciem poprzednią noc.

Zapomniałem klucza od korytarza. Musiałem więc zadzwonić. Dozorczyni otworzyła mi natychmiast.

„Panie sekundarjuszu, dziś wieczór nie można było z panną Emmą wytrzymać. Płakała, pytając się ustawicznie o pana. Powiedziałam, że pan poszedł do miasta, dopieroż zaczęła żałośnie wyrzekać. Mówiła, że się pan bawi — a o niej zapomniał — jak poprzedni pan sekundarjusz o dziewczynie w srebrnych ramkach. Potem zaś uciszyła się i usnęła".

Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć.

Wszedłem do swego pokoju.

Ściągnąłem lampę i zapaliłem. Obejrzałem się i w tej chwili krzyknąłem przeraźliwie.

Na mem łóżku leżała Emma.

— — — — — — — — — — —

(Pamiętniki te podaję dosłownie, jak je znalazłem w stoliku, kiedy przyjąłem miejsce sekundarjusza na oddziale kobiet w starym budynku klasztornym. Dodam tylko fakt, który oczywista, muszę napisać sam).

Wcześnie rano poszła Szrankowa jak zwyczajnie zajrzeć do panny Emmy. Przelękła się znalazłszy łóżko próżne. Biegnie więc do pana sekundarjusza, aby mu o tem donieść.

Otwiera drzwi i naraz staje na środku pokoju jako słup soli.

W środkowem oknie na żelaznym pręcie wisiały zwłoki sekundarjusza. Dozorczyni chce wybiedz na korytarz — w tem wzrok jej pada na łóżko, na którem leżała na wpół naga kobieta.

Poznała w niej Emmę.

„Jezu Chryste! — zawołała z przerażeniem — pan doktór zapomniał się".

DO PRZESZŁOŚCI.

Przeszłości moja! Ty jasna jak zorze
Pełna lotosu, woni i kolorów,
Zaklęć szeptanych, miesięcznych wieczorów,
I tej miłości bezmiernej, jak morze.

Ja cię pożegnać dzisiaj chcę przeszłości
Chcę cię przesłonić zapomnienia mgłami,
Ale twój uśmiech wabi mię i mami
Stajesz w pamięci w swej grzesznej piękności.

Na Boga! precz mi z duszy!... próżno wołam
Znów wiedziesz roje widm o bladych czołach
Rozpalasz iskry niezgasłe w popiołach.
Ach! nigdy, nigdy zapomnieć nie zdołam.

Sylwia Tygier

WIGILJA BOŻEGO NARODZENIA.

SZKIC

przez W. S. REYMONTA.

Dwóch ich było. Nazywali się... zresztą po co nazwiska? Starczą numery, jakie mieli wypisane nad łóżkami. Na czarnej tablicy migocą kredą wypisane cyfry: 43 i 44. Oni sami może zapomnieli nazwisk, jakie nosili tam, gdzieś w ojczyźnie dalekiej. Przeszli takie straszne koło nieszczęść, zawodów, widzieli rozsypujący się w gruzy cały gmach nadziei. Przeżyli wszystko. Pół kraju spłonęło, tysiące ~~takich jak oni~~ legło w ciszy śmierci. Oni pozostali. Po co? Alboż mogli wiedzieć! Wiedzieli tylko to, że znaleźli się pod obcem, niegościnnem niebem, na twardym barłogu szpitalnym, z resztkami życia. Wiedzieli, że życie jest ciężkiem, a stokroć cięższem na tułaczce.

Zapominali nazwisk, jakby pragnęli zapomnieć, że żyją.

Cierpienia ich poprzyjaźniły — wspólne nieszczęścia zbratały.

Mówili sobie po imieniu, — Boleś! Stefan! — brzmiało, często wymawiane pomiędzy ich łóżkami.

Kilka miesięcy szpitalnego życia zbliżyło ich jeszcze więcej do siebie. Tem więcej, że Stefan, jako silniejszy, prędzej przychodził do zdrowia, mógł się już podnosić z łóżka, a nawet był w stanie przejść o kiju, do okna. Bolesław przeciwnie, nic się nie poprawiał. Żółty był jak wosk, twarz jego stawała się z dniem każdym chudszą, przezroczystszą, coraz więcej sił mu ubywało. Lekarze nie robili nadziei.

Był bezsilny i milczący, a gdy mówił o ojczyźnie, o powrocie do rodziny, uśmiechał się, lecz uśmiech ten był raczej oznaką rezygnacji smutnej, niż nadziei.

Leżał nieruchomy, niebieskie, zagasłe o martwym wyrazie oczy utkwił w okno, wychudłą rękę podłożył pod głowę i patrzył.

Już mrok się robił, wieczór grudniowy szybko zapadał. Gwar jakiś, podobny do szmeru fali w oddaleniu płynącej, uderzał o szyby, czasem przedzierał się po przez okno głośniejszym dźwiękiem, lecz jakby przytłumiony martwotą panującą w sali — milknął, rozpływał się. A tam — w głębi, ponad skupionemi dachami domów, jeszcze się krwawiły ostatnie błyski zachodzącego słońca, błyski czerwone jak ogień przedzierały się przez mgłę szyb zapoconych i w długich płatach padały na posadzkę i bladły, rozpływały się zwolna w cieniach, gasły pod posępnością zmroku.

Chory leżał milczący, lecz rysy jego ożywiły się niezwykle — usta mu drgały boleśnie, twarz całą napiętnował mu ból jakiś, bo po policzkach spływały łzy. Któż nie wie, jak gorzkie są łzy niedoli, opuszczenia? Łzy czasów, ludzi, wspomnień drogich a bolesnych, tego wszystkiego co przeszło bezpowrotnie — któż nie wie? Wszak to dziś Wigilja Bożego Narodzenia!.. Myślał o tem święcie, przypominał sobie ojczyznę, rodzinę, wigilję spędzaną w domu.

Przypomniał sobie pasterkę o północy w kościele, ubranym świerkami i rzęsiście oświetlonym: dom, ojca, matkę, rodzinę całą, wszystkich, którzy przy stole, zastawionym wigilijnemi potrawami zgromadzili się by się podzielić opłatkiem i życzeniami.

Widział ten stół, nakryty białym obrusem, zapach siana rozchodzi się po komnacie. Wielka choinka w rogu, obwieszona mnóstwem łakoci, króluje w aureoli pozapalanych świeczek. Siostry jego, małe, jasnowłose anioły — przypatrują się obrazowi z powagą, na dnie której była ciekawość i rozrzewnienie.

Służba sztywna, uroczystością chwili — poubierana świątecznie, z poczciwością w szorstkich twarzach, stoi przy oknach wypatrując pierwszej gwiazdy.

Cisza! — Niebo pogodne, lazur ciemny oblał widnokrąg jak okiem zasięgnąć. Ziemia otulona śniegiem roztacza się jak w panoramie. Z okien chat wieśniaczych biją łuny, migają twarze, czasem żóraw gdzie przy studni zaskrzypi, zachrupocze śnieg pod nogami — i znowu cisza. Oczy się podnoszą ku górze, ku niezgłębionym przestrzeniom — z pragnieniem a miłością.

Cisza na niebie, cisza na ziemi — spokój w sercach.

Naraz okrzyk z wszystkich piersi się zrywa. — Jest! Jest!

Małe, bliźniacze cheruby podbiegają ku oknu i szczebiocą: gwiazda! O! jedna! druga!

Hosanna in excelsis! Chwała na wysokości Bogu a na ziemi pokój ludziom dobrej woli. I starzec bierze święty chleb i łamie się z bracią — postacie się chylą, ramiona obejmują w uścisku, usta szepczą dziękczynienia a łzą rozrzewnienia przymglone oczy świecą rozradowaniem dusz wierzących, pobratanych.

Tak, on widzi to wszystko, słyszy, czuje. Widzi jak ojciec, jak matka, jak domownicy, obsiadłszy długi stół — spoglądają na jedno miejsce niezajęte, próżne. To jego miejsce. Och nie zajmie on go, nie zajmie! — I taki kurcz bólu ściska mu serce, że odchodzi od przytomności. Nie zobaczy kraju, swoich, nie przełamie się opłatkiem, nie przyciśnie do piersi tych serc kochających a wiernych. — Nie! — o nie — nigdy. Przymyka oczy i zdaje mu się, że już zapada w nieskończoność. Po chwili zwraca się do milczącego towarzysza niedoli, zmartwiałego może w takiem samem rozpamiętywaniu.

— Och Stefku mój drogi! jakąż wigilję mieć będziemy tego roku? Żeby módz kupić cokolwiek, coby nam uprzytomniało ten wieczór spędzony tam — z niemi. Jakbym ja pragnął jeszcze przed śmiercią widzieć choinkę! Już nie taką, jakie tam mają, ale żeby choć zapachniała lasami naszymi. Pamiętasz Stefku lasy? — pamiętasz?

— Pamiętam, o za dobrze pamiętam — szeptał zdławionym łzami głosem Stefan.

Chory, mówiąc o lasach, miał wzrok rozpłomieniony — uniósł głowę trochę wyżej, oddychał szeroko, jakby wciągał w siebie balsamiczne zapachy lasów.

Ale co tu poradzić? Kiedy obaj biedacy nie mają już pieniędzy. Wszystko, co mieli wydali dawno!

Stefan wprawdzie ma pierścionek złoty z niebieskim kamyczkiem, pierścionek ocalony nieraz kosztem głodu, a którego wartość mizerna. To skarb, który ma im wystarczyć na czas jakiś po wyjściu ze szpitala. Te pieniądze jak święte — niepodobna ich ruszyć.

— Ale cóż ten biedny Bolek taki chory, kto wie, może się nie wyleczy. Czyby nie lepiej sprzedać pierścionek teraz i wyprawić ucztę wigilijną. — Te myśli cały dzień zajmowały umysł Stefana. Wahał się, lecz widok cierpień towarzysza i jego pragnienia, które przeczuwał, zadecydowało.

Gdy ujrzał posługacza, przywołał go nieznacznie, a potem długo szeptał, wyliczając mu i rachując. Wreszcie, zdjęty z palca pierścionek wsunął mu w rękę.

Od tej chwili Stefan zachował jakąś dziwną, tajemniczą minę. Nawet w bolesnem przypominaniu lasów, na twarz mu występował jakiś promień czułości, gdy spoglądał, z pod oka na Bolka. Gdy wieczór zapadł podnosił się co chwila z łóżka, szedł do okna i wypatrywał dokąd nie zobaczył we mgle wieczoru oczekiwanego, jak, zadyszany pędził ku szpitalnej bramie.

* * *

To pierwsze drgnięcie gwiazd, wyłaniających się mistycznie z ciemnych fal eteru, ta chwila uroczysta, witana hejnałem modlitw, westchnieniami tylu rozradowanych, była przygnębiającą dla mieszkańców szpitala. Sale chorych ciche i ponure rozświecały słabo lampy, zawieszone u sufitu. Wielkie, długie cienie łamały się na łóżkach, na ścianach nagich, migotały jak widma bez form, bez fizyonomji niby gorączkowe oddechy chorych. Na poprzecznej ścianie sali obraz jakiegoś świętego ascety, oświecony oliwną lampką, tym mdłém, żółtawém światłem, chwiejącém się za najlżejszą wibracyą powietrza, patrzał na długi szereg powalonych niemocą. Nie było w tym wzroku litości, pocieszenia, — nie. Patrzały te oczy nieruchomo, martwo, nieubłaganie, jak konieczność; prześlizgiwały się po przez całą tę nędzę ludzką i szły dalej, po przez mury, hen!..

Chwilami szkielety ludzkie odzywały się głośno, wydawały jęki, chrapliwe przekleństwo wyrywało się z tych piersi uciśnionych bólem, czasem płacz, czasem łkanie z rozdzierającą ekspresyą rozlegały się w ciszy i zapadały. Czasami tylko kiedy niekiedy ostry, świszczący oddech było słychać, lub kaszel gwałtowny, urywany, przejmujący i znowu uciszało się na chwilę.

Nieregularne oddechy, gorączkowe rzucania się chorych, jęki rozpaczliwe, zgrzyt zębów ustawały, rozpływały się w cieniach, w opuszczeniu, w smutku, jaki zdawał się wyzierać z każdego kąta sali.

Czasami znowu rozlegał się szept modlitwy, podobny do złorzeczenia, i głuchy odgłos bicia się w piersi, błagających miłosierdzia, zmiłowania... Pomiłuj! — szeptały usta wykrzywione bólem, — Pomiłuj! A równocześnie z ulicy, dopływały do nich szmery wesołe, echo śpiewów, odgłosy rozmów, bieganina, dźwięki jakieś ochocze, zdrowe.

Czuć było tam w powietrzu gorliwość ducha, tajemnicę religijną i drgania życia krążącego wszędzie.

Stefan postawił a raczej przysunął po cichu małą szafkę bliżej i okrywszy jakąś białą szmatą, umieścił na niej butelkę z winem, kawał jakiegoś ciasta, kilka ryb smażonych zimnych, a w maleńkiej podstawce w środku dziecinną choinkę. Zapalił świecę obsadzoną w obtłuszczony syfon i zapytał.

— Boleś, czy śpisz?

Chory otworzył oczy podsiniałe. Przy niepewnem świetle świecy i blasku śniegu na dachach, ta wigilja zaimprowizowana zdawała mu się sennem widziadłem. Długo nie mógł w rzeczywistość uwierzyć.

— Hej! ocknij się — Wigilja! Czyż pozwolimy aby dwaj Polacy przepędzili ją bez przełamania się choć takim chlebem?

To mówiąc Stefan uniósł chorego na pościeli i posadził z rozrzewniającą troskliwo-

ścią. Potem napełnił kieliszki, nakrajał chleba i ryby i — poczęli się łamać. Długo, długo, trzymali się w braterskim uścisku, łzy rozczulenia zatamowały im mowę.

Później snuli cudną a bolesną przędzę wspomnień, przerywaną tylko wykrzyknikami — Pamiętasz! — Pamiętasz!

Powoli i Bolek ożywił się, rozpogodził, rozgadał nawet, rumieniec, jak plama, wystąpił mu na policzki, gdy z serdeczną naiwnością dziecięcia prosił Stefana o zaśpiewanie kolendy.

— Dobrze, a którą chcesz?

— Śpiewaj, którą lepiej pamiętasz.

— Zaraz. — I półgłosem, przerywanym kiedy niekiedy dla zaczerpnięcia powietrza, śpiewał:

„W żłobie leży, któż pobieży
„Kolendować Małemu“.

Bolek drgnął na pierwszy ton melodyi, uniósł się, prawie że usiadł, nie opierając się na poduszkach. Twarz mu rozgorzała, usta drżały nerwowo, rozpłomienione oczy utkwił w śpiewającym. Pił śpiew wszystkiemi porami. Pierś podnosiła mu się gwałtownie, rozpierana wzruszeniem, był bliskim omdlenia z nadmiaru radości jakiejś.

Co to? — Nie słyszy Stefana, a chór cały śpiewających.

Co to? — Kościół wiejski, tłum wieśniaczy, głos organów poważnie wznosi się pod sklepienia; on sam widzi się w gronie swoich. Na stopniach ołtarza stoi ksiądz i intonuje głosem drżącym od starości:

„W żłobie leży...“

A tłum cały różnobarwny, kołyszący się zbitą falą głów — podchwytuje melodye i śpiewa dalej z uniesieniem nieuczonemi głosami prostaków „Któż pobieży“. I pieśń płynie szeroka, majestatyczna, przepojona uczuciem. Głębokie tchnienie wiary śle ją aż do stóp Nieznanego. Sam zaczyna śpiewać, głosem cichym; zdaje mu się, że powtarza za tłumem — „Kolendować Małemu“. Dreszcz jakiś ekstatyczny przebiegł po nim, w piersiach go okrutnie zabolało.

— „Jezusowi...“ Twarz zalewały mu łzy, brakowało oddechu.

— „Chrystusowi“. Wzrok rozpalony utkwił w ołtarzu, wszystko zdało mu się dziwnie poruszać. Widział, jakby gipsowi święci zstępowali z piedestałów i szli ku niemu z uśmiechem.

— „Dziś dla nas zesłanemu“ — wyszeptał prawie już niedosłyszalnie i gdy Stefan powtarzał ten sam wiersz, poruszył ustami bez dźwięku, wyprężył się i upadł na poduszkę.

Stefan myśląc, że usnął, zawołał na niego, potem wziął za rękę i potrząsnął nią. Lecz chory nie podniósł nań oczów, nie odpowiedział. Choinka, którą trzymał, wypadła mu z dłoni i ułożyła się w poprzek pościeli, niby zielona palma, jaką kładą na południu u wezgłowia umarłych. Twarz odrzynała się ostro od białej poduszki, rysy wypogodzone, odmłodniałe, nabierały jakiejś kamiennej sztywności, po policzkach toczyły się jeszcze łzy, — łzy ostatnie.

Stefan dotknął się jego rąk, były bezwładne, chłodły. Nachylił się ku sercu — nie biło!

Majestat śmierci kładł pieczęć na swoim łupie. Stefan zrozumiał. — Został sam przy niedokończonej uczcie — sam wobec nadmiaru tyranii życia, wobec nowych cierpień, nowych łez. — Sam! Zatrząsł się cały, chciał krzyknąć, wybuchnąć rozpaczliwym okrzykiem skargi. Głos mu uwiązł w gardle, ręce opadły martwo. Pochylił się, jak pod strasznem uderzeniem, spojrzał błędnie — oczy umarłego były otwarte szeroko, jak otchłanie bez dna, patrzyły nieruchomą, szklistą źrenicą na niego, jakby prosząc o zamknięcie. — Wstał, pochylił się nad trupem, przymknął mu powieki i z jękiem upadł na swoje łóżko.

Czuł łzy w mózgu, obłęd czy wielka boleść ogarniały go.

Zapadał w jakiś wir nieświadomości i odurzony, pijany bólem zaczął śpiewać przerwaną kolendę:

„W żłobie leży, któż pobieży
„Kolendować Małemu“.

W ciszy szpitalnej, okropnym echem rozlegały się kolenda i płacz, jakim po pierwszym wierszu wybuchnął osierocony.

„Jezusowi, Chrystusowi“.

Akcentacya stawała się straszną, przerażającą, schrypnięty głos brzmiał jak wycie, jak huragan przekleństw.

Cienie drżały, rozkołysane rozbrzmiewającym głosem. Chorzy podnosili z swoich barłogów zdumione twarze.

A z po za mdłego światła oliwnej lampki patrzały oczy, zimne, nieruchome, nieubłagane, jak konieczność, prześlizgiwały się po przez tę całą nędzę ludzką i patrzały dalej — w nieskończoność — hen!

POKŁOSIE LITERACKIE.

A. Dygasiński: „Garstka.“ Nakład Teodora Paprockiego. Warszawa 1893.

Znakomity a niestrudzony powieściopisarz i nowelista rzucił w świat nowy zbiór szkiców i pomniejszych powieści. Czyż trzeba mówić czytelnikowi polskiemu kim jest Dygasiński i jakie miejsce zajmuje on w współczesnem piśmiennictwie naszem? Nie tak dawno pracuje Dygasiński na literackiej niwie, a iluż przepysznemi tworami wzbogacił już skarbiec naszego duchowego dorobku! Kto czytał przepyszne jego nowele, kto zna wspaniałą jego powieść: „Pan Jędrzej Piszczalski,“ gdzie Dygasiński dał wyborny, pełen życia typ Don Kichota polskiego, kto wreszcie odczuł piękności „Beldonka,“ ten wie, że autor „Gorzałki“ i „Von molkena“ i „Na pańskim dworze“ jest talentem wielkim, pisarzem z Bożej łaski i znakomitym przedstawicielem naturalizmu w najszlachetniejszej jego formie.

Któż tak, jak Dygasiński poznał byt chłopa polskiego? Któż tak, jak on, poopatrzył życie zwierząt, pełne walk, trosk i radości, zarówno, jak istnienie ludzkie? Któż wreszcie z taką plastyką, z takim humorem i werwą potrafi obserwacye swe przelać na papier i dać im wykończoną, harmonijną formę powieści noweli lub szkicu?

I myliłby się ten, ktoby pracom Dygasińskiego odmówił poezyi i polotu, ktoby je suchemi lub pozbawionemi uroku nazwał. Nie! Z każdego, by najmniejszego urywka wieje tam niespożyty czar, świeżość i głębia uczucia. Trzeba tylko mieć samemu piękną wyższą duszę, by te piękności odczuć i napawać się niemi.

Przyroda jest największym najwspanialszym poematem, a nikt lepiej, jak Dygasiński nie pojmuje i nie opisuje przyrody. Każde drgnienie serca ludzkiego śpiewa lub płacze, a mało kto tak, jak Dygasiński potrafi podsłuchiwać te drgnienia. Zaprawdę wielki to poeta, choć bez rymów, bez księżycowych bladości i woni róż i jaśminów. On to wiernie i stale hołduje zdaniu, które niegdyś wypowiedział Ujejski: „Największa wielkość w prostocie...“

I jedno jeszcze: Dygasiński umie z najpospolitszego tematu zrobić rzecz nową, piękną i wstrząsającą. Ot, np. „Głód i miłość.“ Jakaż to stara i, zdałoby się, banalna historya (o ile dramaty i tragedye życiowe banalnemi być mogą). Młoda dziewczyna, szwaczka, mieszka z swą matką w Warszawie. Pracuje ciężko w magazynie i uczciwie na chleb dla matki i siebie zarabia. Wpadła ona w oko bogatemu a zużytemu hrabiemu, który chciałby ten smaczny kąsek zdobyć na własność. Ale dziewczyna, pomimo zastawionych na nią sideł, pomimo namowy własnej matki z oburzeniem odpycha propozycye rozpustnika i... i prowadzi romans z młodym technikiem, którego kocha. Ten ostatni zdobywa wreszcie ufającą mu szwaczkę, rzuca ją, jak to się zwykle robi, a przyciśnięta rozpaczą i głodem Antosia idzie w objęcia hrabiego, „na łatwy chleb.“

Podobna historya odgrywa się w innej noweli p. t. „Klawiszewski i Rózia.“

Prawda jakie to stare? Tak! stare, ale za to, jak napisane. Racyę miał ten, kto powiedział, że właściwie starych tematów niema: każdy będzie nowy, jeśli go się umiejętnie obrobi. Otoż tę umiejętność Dygasiński posiada w wysokim stopniu. Nie znaczy to jednak, by nie potrafił on znaleść tematów nowych. Przeciwnie, jest to jeden z najoryginalniejszych talentów naszych.

W zbiorze: „Garstka“ znajdują się jeszcze dwie wysokiej wartości nowele: jedna z życia ludu: „Złodzieje,“ druga z życia szlachty: „Est modus in rebus.“

Pierwsza i druga odznaczają się niepospolitą obserwacyą i szczerze rodzimym, tryskającym z każdego wiersza humorem, który Dygasiński potrafi wyśmienicie zastosować do opisywanych postaci. Zupełnie inny humor ma szlachcic, inny chłop i inny żyd. W znajomości chłopa i żyda dorównywa Dygasińskiemu jeden tylko Junosza, no i Prus, ale tylko w „Placówce.“ Po za tem w „Garstce“ mamy jeszcze kilka pięknych drobiazgów, jako to: „Rycerskość chłopska“ „Aktorka“ i inne.

Słowa rzetelnego uznania należą się firmie T. Paprockiego w Warszawie. Firma ta przoduje dziś, rzec można, wszystkim innym nakładowym księgarniom, a wydaje prawie zawsze rzeczy cenne.

„Asceta“ dramat w trzech aktach, prozą napisał Dr. Rabski. Poznań. 1893 rok, nakładem autora.

Rzecz dziwna doprawdy, że dotychczas nasi pisarze dramatyczni rekrutują się tylko z pod dwóch zaborów: z Kongresówki i Galicyi, a więc z krajów, gdzie stosowane są względem Polaków dwa odmienne i zasadniczo sprzeczne systemy postępowania.

Zabór rosyjski jest ojczyzną pisarzy tego pokroju, co Zalewski, Lubowski, Mańkowski i tylu innych w Galicyi znowu uprawiają niwę sceniczną: Bałucki, Bliziński, Koziebrodzki, Sarnecki i Sewer. Poznańskie aż do początku roku ubiegłe-

go nie wydało ani jednego dzieła dramatycznego trwalszej wartości bo, przecie za takie uznanym być nie może: „Demon Miłości“ p. Mottego. I gdyby nie ukazanie się teraz na półkach księgarskich „Ascety“, dramatu przez poznańczyka stworzonego, zwątpić by nam chyba przyszło o twórczości dramatycznej wielkopolan. Dramat Dr. Rabskiego napawa nas jednak nadzieją zmiany na lepsze. Rzecz ta napisana z talentem przedstawia walkę miłości z ascetyzmem, który jest objawem umysłowego zboczenia u bohatera sztuki: Henryka Olińskiego. Egzaltowany ten a chory mózgowo, — ascetyzm dzisiaj tem się tylko tłómaczy — młodzieniec, spotykając dawny przedmiot swej gorącej miłości. Maryą, daznaje chwilowego wstrząśnienia moralnego; za radą prawdziwych przyjaciół i pod wpływem uczuć dla szlachetnej dziewczyny byłby może wrócił do życia świeckiego, by stać się użytecznym społeczeństwu, gdyby nie małomiasteczkowe bajczarstwo, gdyby nie wuj jego ograniczony Łaszkowski i gdyby nie... wcale ładny choć nie nowy efekt sceniczny: dzwonek za sceną, wzywający do modlitwy. Plotki, ograniczony wuj i dzwonek zwyciężają — młody asceta odtrąca kochającą go kobietę.

Sztuka, lubo nie odznacza się kunsztowną budową, napisana jest bardzo dobrze, nierozwlekła nie nuży więc, skupiając uwagę widza na umiejętnem przeprowadzeniu; charaktery dramatu są pomyślane głębiej i konsekwentnie, wyjąwszy jednego. Rozumiemy bowiem dlaczego stara rozrzutnica Godlewska chce sprzedać staremu sybarycie Maryą — rozumiemy motywa bajczarek, z których wszelkie zło wypływa, rozumiemy i egzaltacyą Maryi, stan psychiczny Henryka, nie rozumiemy jednak dla czego wuj Łaszkowski w ten sposób zajmuje się siostrzeńcem. Albo nie kocha swego siostrzeńca a w takim razie — zwłaszcza że nie jest bogaty — nie zajmowałby się nim wcale, albo kocha go a wtedy nie parłby go przecie do klasztoru czyli przy zdrowiu Henryka—do grobu. Oprócz nieszczęśliwych kochanków i sympatycznych postaci: Dr. Mulika i jego żony, reszta figur ujemnie jest przedstawiona. W sztuce tej lekko poruszone są prądy, jakie przebiegają obecnie Poznańskie.

Z jednej strony szlachetne porywy postępowości, z drugiej wszystko i wszystkich przyduszająca atmosfera zacofania, serwilizmu i panowania plotki.

Dramat Dr. Rabskiego, jeśli ma zrobić wrażenie na deskach sceny, powinien być grany w bardzo szybkiem tempie. *Z. P-vi.*

„Uniewinniona“ powieść Fortunata Boisgobey'a, nakładem Biblioteki domowej — Kraków 1893 r.

Przed rokiem zmarły pisarz francuski Fortunat Boisgobey należał do tych niezasłużonych a szczęśliwych, którzy pokrywając brak talentu wybitniejszego łatwością pisania — znajdują uznanie i popyt dla dzieł swych wśród niewybrednej publiczności. Jak inne dzieła tego pisarza, tak i „Uniewinniona“ jest powieścią kryminalną, lecz przyznać trzeba że o całe niebo niższą i płytszą niż tego rodzaju utwory np. Gaboriau. Tajemnicze morderstwo, niesłuszne posądzenie, zagadkowe indywidua i fałszywy margrabia powtarzają się stale w powieściach Boisgobey'a.

Tak i teraz baronowa de Noyal, oskarżona o zabicie kuzynki swej panny Caristie uniewinnioną zostaje przez sąd przysięgłych za sprawą margrabiego de Chenevailles. Opinja potępia ją jednak i dla tego pan du Plessis postanawia oczyścić baronową z zarzutu. Śledztwo wyjaśnia wszystko. Margrabia nie jest margrabią lecz oszustem. Sewera była właściwą sprawczynią morderstwa, du Plessis zabija margrabiego, Sewera, której nieudał się straszny plan truje się, du Plessis żeni się z baronową i finita la comedia.

Rzecz napisana nie ciekawie, — tłómaczenie dobre.

NASI ARTYŚCI.*)

I.

(LUDWIK STASIAK).

Towarzystwo Przyj. sztuk pięknych w Krakowie rozwinęło niejaką żywotność przez urządzenie „pierwszej cyklowej wystawy obrazów“ p. L. Stasiaka.

Kto inny scharakteryzuje obrazy Stasiakowskie, ja pragnąłbym jedynie zwrócić uwagę ogółu na kilka ważnych w dziedzinie sztuki faktów, dotyczących naszej sztuki.

Wiadomo powszechnie, że od lat nie wielu, bo dopiero od lat 25-ciu, dzięki niespożytej sile żywotnej narodu naszego, sztuka polska a w szczególności malarstwo zakwitło najpiękniejszym kwiatem, jakby na przekór przepowiedniom Klaczki, lub słowom Asnyka: „...jaka publiczność, tacy poeci.“ Publiczność była i jest dla malarstwa obojętną tak samo jak dla literatury poważnej — poezyi i wszystkich innych sztuk na Helikonie zamieszkałych. Bez względu jednak na to, malarstwo nasze, chociaż sztucznie z zachodu na naszą glebę przesiedlone, nie tylko, że przyjęło się ale wciąż z postępem naprzód idąc szczęśliwie, rywalizuje z resztą Europy i mimo nieprzychylnych warunków, rozwija się. Prawda, że rozwój ten dzieje się zawsze kosztem jednostek, uprawiających sztukę, ich ofiarą.

My nie posiadamy ani muzeów, ani galeryj publicznych, tem mniej prywatnych. Kardynalnem przeto miejscem zbytu dla ogółu artystów było i jest Tow. przyj. sztuk pięknych. Jego przeto ruchliwość, żywotność, przedsiębiorczość będzie dla artystów stanowić rękojmię pomyślnego obrotu ich interesów, a w dziejach sztuki pięknie zapisaną kartę.

Wracając do wystawy p. Stasiaka, niewiemy, czy i o ile korzystnie wyjdzie na niej artysta, natomiast wiemy z pewnością, że dyrekcya Tow. wydaje aż 600 fl. rocznie na popieranie „Kunst Chronik“ w Wiedniu. Tak jest, wyraźnie sześćset fl. w. a., podczas, gdy polskiemu pismu ilustrowanemu subwencyi w swoim czasie odmówiło.

Urządzanie wystaw cyklowych, kilku do roku, stanowićby mogło niezawodnie zachętę dla artystów, publiczność zaś miałaby dobrą sposobność nabrania wytrawniejszego pojęcia o talentach artystów. Otóż niech: Malczewski, Tondos, Tetmajer, Popiel, Kossak i tylu innych przesuną się przed oczyma publiczności w takim turnieju, a wówczas suma 600 fl. marnie dziś wydawana, obróconaby została na rzecz dobrą i pożyteczną.

* * *

Czytając w pismach krytyki świeżo wystawionych dzieł sztuki, zbyt często, niestety, odnosimy to wrażenie, że oceny pisane być musiały przez ludzi nie fachowych. Podnoszą one bowiem zwykle takie rzeczy w obrazie, których autor przy malowaniu go, zgoła w myśli nie miał, a przeciwnie poniewierają zwykle tem, co jest zaletą obrazu.

I nie dziw, bo aby módz krytykować, trzeba się na rzeczy rozumieć, tj.: posiadać zasób wiadomości i doświadczeń czysto specyalnych; aby krytykować obrazy, trzeba sztuki malarskiej samemu zakosztować.

W tej chwili nadarza się sposobność dla krytyków do popisu, bo niezmiernie oryginalna wystawa Stasiaka — obszerne do tego daje pole.

Stasiak jest malarzem, którego aby ocenić, *trzeba* się na sztuce rozumieć, i to tak jak malarze się rozumieją, tj: ludzie tego cechu czy fachu.

A dowiedzioną jest rzeczą, że człowiek, ma pewien złośliwy w sobie pociąg, do potępiania wszystkiego, czego nie rozumie, krytycy zaś nasi, mają często osobliwszą inklinacyę do odmawiania wszelkich zasług i talentu autorom obrazów, na których wartości poznać się nie mogą.

Aby zasłonić wystawcę przed srogim wyrokiem nie powołanych sędziów, czują się malarze obowiązani do pewnego stopnia, aby wypowiedzieć swe najbezstronniejsze o obrazach Stasiaka zdanie.

Sądzimy, iż będzie to dla każdego jasnem i zrozumiałem, że jak budowniczy na architekturze, stolarz na robocie mebli, ksiądz na służbie Bożej, żołnierz na taktyce, tak malarz musi się na malarstwie lepiej od kogo innego rozumieć.

Nie od rzeczy też tu będzie, zanim się do właściwej oceny przystąpi, podać w kilku rysach ogólnych, na czem właściwie wartość obrazu polega. Otóż w pierwszej linii polega ona na talencie autora, o czem każdy wie.

Artysta zaś każdy ma talent zawsze w pewnym kierunku rozwinięty, ma pewne dążenia i ma pewien swój sposób widzenia i odczucia natury.

Jeżeli zatem ktoś jest z usposobienia swego kolorystą, tj.: ma poczucie pewnych kombinacyj barw, które kładzione obok siebie na płótnie, dają nam wrażenie pięknego i silnego w kolorze obrazu, to szuka on tego efektu w naturze, i wszelkie jej motywy kolorystyczne, będą go przedewszystkiem zajmowały, a w obrazie będzie się on przedewszystkiem starał, aby ów kolorystyczny efekt wydobyć.

Inny będzie miał osobliwy pociąg do odczuwania n. p. pewnej charakterystyki, będzie jak to technicznem określamy wyrażeniem: czuł chłopa, czuł rycerza etc., etc., to znaczy, że główną zaletą jego obrazów będzie charakterystyka figur i wyrazów.

U innego będzie przeważać siła uczucia, jakiś sentyment, pewna poetyczność motywu, czasem nawet będzie mu chodzić o samą fabułę, treść obrazu. W takich obrazach technika jest często rzeczą podrzędną, n. p. obojętne jest czy obraz rysowany ołówkiem, czy malowany barwnie.

Są tacy, którzy komponują obraz wyłącznie „na linię,“ którym chodzi o kombinacye linii w obrazie. Ci podpatrują w naturze motywy o pięknych liniach i wartość ich obrazu zależy od owej piękności linii i rysunku. W ogóle wartość dzieła sztuki polega na obrobieniu motywu, który malarz czuje.

Talent zatem prawdziwy odznacza się zawsze, pewną *w jednym kierunku* dążnością, prawdziwe dzieło sztuki ma zawsze pewne zamarkowane strony natury, którym inne są podporządkowane.

Tylko rzeczy miernej wartości, mają ze wszystkiego tylko po trochu, a żaden przymiot nad innymi nie ma przewagi. — Takie obrazy świadczą, że autor ich nie ma dosyć energii na silne zaznaczenie swej indywidualności, że talent jego jest bezsilny, słaby. A niestety, tylko takie obrazy znajdują przychylną ocenę u naszej publiki, nie rzadko i u krytyków.

Dla tego też stanowczo nie kto inny, jak ten co się rozumie na zrobieniu obrazu, zna się choć trochę na rzemiośle sztuki, ocenić potrafi wartość obrazu.

A rzadko o podobnie, pod wyżej wymienionymi względy, typowego malarza jak pan Stasiak, malarz z t. zw. młodej generacyi.

Tak często widuje się jego obrazy na wystawie, tak silnie każdy z nich przez oryginalność pojęcia i wykonania, wbija się w pamięć widza, a jednak nie łatwo było dotych-

*) (Pozostawiamy Sz. Autorowi zupełną dowolność w tworzeniu technicznych terminów malarskich. Przyp. Red.).

…miarkować się, w jakim sposobie rozwija się jego talent. Gdy jednak pan Stasiak zebrawszy z kilku lat obrazy, dzieła z różnych epok swego … pochodzące, wystawił je razem w Su…ach, nadarza się sposobność do oceny jego talent, z pierwszych zarodków …jąc, dojrzewa, i coraz wyraźniejsze …nalności malarskiej przybiera znamiona. …fleksyi“ do pejzażów i „Oczepin na …“ wybitnie występuje na jaw ten rozwój. …dzimy tu pejzaże traktowane z wielką ogromnem poczuciem malowniczości …ze. Motywy obierane z wielkim talen…serwacyjnym, odczuciem poezyi przy… malowane silnie w kolorze.

…aściwością cechującą p. Stasiaka, jest: …r, światło, cień i figura ludzka; a mia…wicie człowiek w pewnych już gwałtownych, …gicznych chwilach życia. — Jest p. Stasiak …co literatem w obrazie. Lubi motyw …ać na bajce, tak, żeby w nim przeważała …ya lub strona duchowa działających figur. …ten punkt uderza p. Stasiak i umieszcza …ury jako bardzo barwne plamy, silnie …wietlone, w bardzo kolorystycznem tle. Robi …raz „na kolor, światło i wyraz.“ — Jest …właściwość jego, charakterystyczna strona …go talentu.

„Refleksye,“ które ogarnęły duszę stola…, robiącego kołyskę i trumnę, musiały czę… zajmować umysł artysty, bo je odczuł …yobraził w twarzy stolarza. Ludzie, sie…cy „dobrze w tonie“, „w kruchcie kościel…“ mają też ogromnie dużo oryginalnego …iegoś wyrazu.

W obrazach tych malowych już dawno, …wie w samych początkach karyery autora, i w innych z tej epoki, zdradza się już …siejszy Stasiak, ale trochę jeszcze za mało …modzielnego a tak dziś już oryginalnego …sobu skomponowania i wykonania obrazu, …za one jeszcze cechę rzeczy młodzieńczych …l tym względem, lubo w technice bardzo …prawnych.

Pejzaże są już malowane z całym właści…ym charakterem, bardzo śmiało i pewnie, …ać w nich opanowanie techniki, a nade …zystko, jak już powiedziano, wieje z nich …erwacya natury, zupełnie właściwa i po…cie malowniczości w przyrodzie.

Energiczne usposobienie malarza kocha się …kontrastach, lubi światło energicznie obok …ia położone, lubi kontrasty kolorów cie…ch, położonych ostro obok zimnych, to też …zy, w których chodzi o tę poezyę kon…u są wprost kapitalne, jak np.: „Gwiazda …h króli“ wystawiona teraz w salonie …nana. Ale najcharakterystyczniejszymi …lepszymi w całym zbiorze są obrazy: … poprzek drogi“, i „Oczepiny na Pod…“.

…W nich jest już Pan Stasiak sobą, ze …stkiemi swemi zaletami i usterkami, i …dym swym tęgim, nadzwyczaj oryginal… talentem. Siła tu niezmierna i koloru …iatłocienia świadczy o tym krzepkim, …dzielnym i pełnym przyszłości talencie. …dzenie obrazu bardzo artystyczne, a wy…nie, niektórych zwłaszcza rzeczy, jak … wnętrza architektonicznego, dywanów, …tów na księżach, w pierwszym obrazie, … wprost doskonałe.

…Pan Stasiak robi wrażenie, że maluje nic …e z farby ani płótna nic robiąc, zdaje się …zystko jedno, jakiej użyje farby, …nie jest jego talentu dowodem. … być posądzonym o chęć rekla…, …nie pomijam też usterek. …zęsto lekceważy ogólny rysunek, …sobie z proporcyi figury ludzkiej, …rspektywicznego stosunku przedmio…e to najczęściej dla tego, że skupiając …łkiem na wyraz kolor i światłocień, …taj się zapomina, bo że rysować …odzą inne, zupełnie odrębne nary…ury. Co do perspektywy, to robi …o wrażenie, że autor musi malo…cowni za małej stosunkowo do …razu, że zatem nie obejmuje go …go rodzaju błędy, popełnia się, …iadomo malarzom, tylko z po…tem od obrazu.

Wogóle Pan Stasiak zdobywa sobie w historyi naszej sztuki miejsce zupełnie sam dla siebie, jest oryginalny i nowy, a zatem jest dobry. Bo obraz czy rzeźba, wogóle dzieło sztuki jest dobrem wtedy, gdy nie jest ani plagiatem, ani sadzeniem się na sztuczną oryginalność, nie opartą na poczuciu natury, jest dobrem wtedy, gdy nosi cechy talentu autora. Gdy tego nie ma, tego czegoś, co się w regułki ani przepisy ująć nie da, a co się zwie talentem, to na nic cała doskonałość techniki, na nic mrówcze „wykończenie“, za które u nas publika ceni głównie malarzy, na nic nawet cała bezdenna głębokość pomysłu. Ten talent, to coś nieuchwytnego tryska i wylewa się szerokim prądem z obrazów Stasiaka. dla tego wystawa jego jest interesującą, bardzo ciekawą.

Gdyby chodziło o porównanie go z kim, to bym sądził, że pokrewny on jest nieco Courbet'owi francuskiemu którego wcale nie naśladuje, nawet nie zna, ale jego artystyczna dusza i zacięcie, sposób czucia natury mają coś pokrewnego. Tylko Courbet jest nam jako Francuz obcy i mniej miły, Stasiak zaś jako Polak, czujący swą naturę polską i działający polskimi zmysłami, zrozumiały, sympatyczny.

Włodzimierz Tetmajer.

MISCELANEA.

Teatr i Muzyka.

*** Teatr krakowski wystawił w ostatnich tygodniach dwie premjery: komedyę M. Wołowskiego pt.: „Nasze anioły“ i dramat głośnego pisarza Ryszarda Vossa, autora „Ewy“ i „Aleksandry“ pt.: „Winny“ (Schuldig). Komedya autora „Nie wypada“ i „Chamskiej duszy“ zdradza niewątpliwie talent sceniczny p. Wołowskiego, który potrafił zręcznie, acz bardzo powierzchownie i mijając się co chwila z prawdą psychologiczną wyzyskać długi szereg konfliktów małżeńskich, bawiących widza nie tyle wewnętrzną siłą komiczną, ile nieprawdopodobieństwami intryg i sytuacyi. Autorowi udał się jedynie Amoński, postać typowa choć wcale nie nowa. „Nasze anioły“ należało ochrzcić farsą.

„Winny“ Vossa, o której to sztuce „Myśl“ już kilkakrotnie wspomniała, porusza jak wiadomo, kwestyę nader doniosłą, bo sięgającą w sedno stosunków społeczno-jurydycznych.

Szkoda, że autor „Vae victis“ jeno z lekka dotknął się tej rany społecznej, że tezy swej jasno nie postawił, a przynajmniej jaśniej nie rozwiązał, gdyż zakończenie dramatu, nie pozbawionego zresztą melodramatycznych efektów, bynajmniej nie wiąże się z założeniem sztuki. Zabójstwo popełnione na kochanku żony da się psychologicznie uzasadnić, ale do czynu tego byłby Lehr zdolny, nie przesiedziawszy ani roku w kryminale. P. Rygier odtworzył doskonale tytułową rolę.

*** Wynik konkursu dramatycznego, ogłoszonego przez „Kuryera Warszawskiego,“ jest następujący:

Pierwszej nagrody nie przyznano żadnej ze sztuk nadesłanych. Drugą nagrodę w kwocie 500 rs., przyznano sztuce „Nauczycielka.“ Pierwsze odznaczenie otrzymała sztuka pod tytułem „Warka“, drugie komedya „Flirt.“

Redakcya „Kuryera Warszawskiego uwzględniając powodzenie kasowe komedyi „Flirt“ przyznała jej od siebie, poza wyrokiem komisyi, nagrodę 500 rs.

Autorem „Nauczycielki“ okazał się Wł. hr. Koziebrodzki, autorem „Warki“ p. D. Zgliński, „Flirtu“ zaś: Michał Bałucki.

*** Na scenie teatru Rozmaitości w Warszawie i lwowskiej hr. Skarbka wystawiono w ubiegłym tygodniu Ibsenowską: „Heddę Gabler,“ w tłóm. p. Otrembowej. Zwracamy przy tej sposobności uwagę naszych czytelników, że „Myśl“ już w r. u. pomieściła na swych szpaltach wyczerpującą ocenę tego dramatu, pióra Cezarego Jellenty. „Hedda,“ jak się można było z góry spodziewać, nie doznała u publiczności powodzenia, rzekomo, z powodu swej „symboliczności.“

*** W wielkiej Operze paryzkiej dano jednoaktową operę młodego kompozytora Fournier-Aliks'a, z libretem Ludwika Gallet'a pt.: „Stratonice;“ utwór ten otrzymał nagrodę na konkursie imienia Cressent'a, który ma tę smutną tradycję, że odznaczone na nim dzieła nie cieszą się powodzeniem u publiczności. Choć i tym razem stało się tak samo, jednak zdaje się, że mamy do czynienia z kompozytorem wiele obiecującym; wina jego polega na tem, że nie zapomniał jeszcze o wymaganiach swych profesorów i przeładował operę kontrapunktowemi uczonemi kombinacjami, zaniedbując stronę melodyjną.

*** Henryk Ibsen napisał nowy dramat pt. „Budowniczy Solness“, który syn jego Sigurd przełożył na język niemiecki. Dramat ten zawiera problemy telepatyczne i wykazuje pewne pokrewieństwo z „Kobietą morza.“ Potęga woli, jej przenoszenie i działanie — oto zasadnicza treść nowego utworu, który odznacza się mistrzowstwem techniki i pewną mistycznością charakterów oraz kolorytu.

*** We Lwowie rozpoczął się sezon operowy. W skład personelu wchodzą takie siły, jak Myszuga, Jeromin, Bernhardt oraz panie: Biondelli, Belizoni i Pawlików-Nowakowska.

*** Teatr poznański[1] wystawił z powodzeniem „Ascetę,“ dramat Dra Rabskiego.

*** Mira Heller została zaangażowaną do opery warszawskiej.

*** W Berlinie odegrano dramat muzyczny F. Weingartnera pt.: „Genezyusz.“

Literatura.

*** W tych dniach został rozstrzygnięty konkurs dla premiowania literatów polskich fundacyi Kochmanna we Lwowie. Pierwszą nagrodę (1000 złr.) przyznano jednomyślnie p. Wł. Mickiewiczowi za dzieło pt.: „Żywot Adama Mickiewicza“, drugą zaś (500 złr.) panu St. Witkiewiczowi za rzecz pt.: „Na przełęczy“, opisującą lud i przyrodę tatrzańską.

*** Redakcya naszego pisma wysłała pismo gratulacyjne do Dra Piotra Chmielowskiego, który kilka dni temu obchodził 25-lecie swej zasłużonej działalności na polskiej niwie piśmienniczej.

*** P. Helena Ceysyngerówna, laureatka konkursa im. Wołodkiewicza, w najnowszym numerze „Bluszczu“ podała charakterystykę drugiej już z kolei postaci niewieściej z „Jerozolimy Wyzwolonej,“ a mianowicie Kloryndy.

*** Zola oświadczył w tych dniach w rozmowie z pewnym dziennikarzem angielskim, że „Germinal i „La Débâcle“, są dwoma ro… sami, którym poświęcił najwięcej czasu… którymi najsumienniej pracował. „Docteur … scal“ przeciwnie będzie opowiadaniem bar… prostem, niepotrzebującem wcale wielkiego wysiłku. Personal powieści ograniczy się do kilku osób zaledwie, a książka nosić będzie poniekąd charakter rekapitulacji całej serji „Rougon-Macquartów.“ Zola odczytał w tym celu wszystkie swoje poprzednie romanse, a szczególnie z największą uwagą „La curée“ i „La faute de l'abbé Mouret,“ których treść wyszła mu zupełnie

z pamięci. Nowa powieść poprzedzoną będzie obszerną przedmową, zamknąć w sobie mającą ogólny pogląd autora na składowe części wielkiego dzieła. Zamierza on poruszyć w niej także ulubioną kwestję teorji dziedziczności, z pewnem jednak zmodyfikowaniem ostrości tonu, z jakim była narzucona w dawnych jego utworach.

*** Nowy Romans Bourgeta. Jeszcze nie przebrzmiały echa ostatniej powieści p. t.: „La terre promise,“ a już dzienniki francuskie zwiastują nowy romans tego samego autora pt.: „Cosmopolis“. „Figaro“ zamieszcza artykuł sławnego poety Coppéego, który czytał powieść swego przyjaciela w rękopisie. Podaje on krótki szkic romansu, którego pełna dramatyczności akcya odbywa się w Rzymie. Autor maluje ten świetny na pozór, a w gruncie zepsuty świat kosmopolityczny, którego zasadą jest używanie na obczyźnie. Coppée uważa „Cosmopolis“ za jeden z najlepszych romansów Bourgeta i nazywa go arcydziełem.

*** W Poznaniu od Nowego roku 1893, zacznie wychodzić pismo humorystyczne p. t. „Oczko.“

*** We Lwowie ogłaszają zapowiedź o mającem wychodzić piśmie p. t. „Obrona.“ Celem jego będzie naprawa stosunków społecznych w duchu chrześcijańskim i ekonomiczny rozwój ludności chrześcijańskiej Galicji. Drugie pismo p. t.: „Hołos naroda“ ma wychodzić tamże w języku ruskim. Redakcję obejmuje p. Teodor Kosarczuk.

*** „Prawda“ warszawska zapowiada wyjście pracy p.: L. Krzywickiego p. t. „Ludy,“ zarys antropologji etnicznej.

*** W ostatnim zeszycie „Ateneum“ znajdujemy między innemi: dokończenie powieści C. Walewskiej pt.: „Wmówione cierpienia,“ artykuł „Na schyłku roku“ Kiszrota-Prawnickiego, „O pierwiastku nadprzyrodzonym w Boskiej komedyi“ Dantego przez W. Gostomskiego oraz z niemałą znajomością przedmiotu napisany artykuł filozoficzny naszego współpracownika Dra Garfeina pt.: „Psychada.“ „Myśl“ zamieściła w r. b. dłuższą pracę tegoż autora o filozofji Nietschego. którego poglądy absorbują obecnie świat inteligentny.

*** Stanisław Kramsztyk. P. Dickstein przypomniał w ostatnim numerze „Tygodnika Ilustrowanego“ zasługi Stanisława Kramsztyka, z okoliczności ubiegłego trzydziestolecia tego uczonego przyrodnika na niwie pisarskiej. Urodzony w Warszawie w 1841 r., ukończywszy kurs gimnazyalny, wstąpił do b. Akademii medyko chirurgicznej, lecz z chwilą otwarcia Szkoły Głównej, porzucił medycynę i wstąpił na wydział fizyczno-matematyczny. Fizyka i astronomia były ogólnie umiłowanemi przezeń przedmiotami. Po ukończeniu studyów zmuszony okolicznościami, został urzędnikiem b. Banku Polskiego, nie porzucił ani zajęć pedagogicznych, ani nauki, ani pracy na polu piśmienniczem, którą rozpoczął już w r. 1862, drukując „Gawędy naukowe“ w „Przyjacielu Dzieci“ Od owego czasu napisał trudną do zli-... ilość artykułów większych i mniejszych, ..., recenzyj, i t. d., podpisanych i nie-...sanych, z rozmaitych dziedzin przyrodo-...stwa i pedagogiki, porozrzucanych po różnych czasopismach, przeważnie zaś we „Wszechświecie“. Oddzielnie wydał: „Biblioteczkę przyrodniczą“ (1870), wykład fizyki w „Panteonie wiedzy ludzkiej“ (1877), „Arytmetykę handlową“ (1879), „Wiadomości początkowe z fizyki,“ 2 tomiki w dwóch wydaniach (1881 i 1836), „O postaci i ciężarze ziemi“ (1885), „Czego nas Kopernik o obrotach ziemi nauczył“ (1890), „Fizyka bez przyrządów“ — 1 tomik w r. 1891, drugi z datą r. p., podobnie jak „Szkice przyrodnicze.“ Z przekładów jego najważniejszym jest przekład „Meteorologii“ Mohn'a. Brał nadto udział w „Encyklopedyi“ mniejszoj Orgelbranda, a obecnie należy do składu redakcyi „Wszechświata“ i „Wielkiej Encyklopedyi Ilustrowanej“ Sikorskiego.

Nekrologia.

† Ryszard Owen, znakomity przyrodnik, umarł w Londynie. Owen urodził się w roku 1804; w roku 1834 został on profesorem fizyologii w „College of surgeons,“ a następnie naczelnikiem oddziału przyrodniczego w „British-Museum.“ Zmarły pozostawił kilka znakomitych prac z dziedziny historyi naturalnej; zwłaszcza cennem jest jego dzieło o zbieranych wykopaliskach.

† Cecylia z Wołowskich Gładkowska, powieściopisarka, znana pod pseudonimem: „Julian Morosz,“ zmarła w Warszawie, w 33 roku życia.

† Teodor Scholtz, brat p. Stefana Szolc-Rogozińskiego, podróżnika, powracając z Fernando-Po, zmarł nagle w Wrocławiu.

† John Lemoine, słynny publicysta francuski, zmarł w Paryżu. Urodzony w r. 1815 w Londynie z rodziców francuskich, wstąpił w r. 1840 do redakcyi „Journal des Débats,“ do której należał aż do śmierci. W r. 1874 został członkiem akademii, jak następca Juliusza Janina, a w r. 1880 senatorem dożywotnim. W r. 1879 ofiarowano mu posadę posła francuskiego w Brukseli, której nie przyjął, nie chcąc zrywać z pracą dziennikarską. Był także stałym współpracownikiem „Revue de deux mondes,“ a niektóre jego studya polityczne i krytyczne wyszły w osobnych wydaniach.

† Werner Siemens, znakomity fizyk, zmarł w Berlinie. Ernest Werner Siemens, inżynier i elektrotechnik, urodził się dnia 13 grudnia 1816 r. w Leuthe pod Hanowerem. Jako oficer artyleryi, założył w r. 1848 w Kielu pierwsze miny podmorskie z elektrycznym lontem, a w r. 1849 wykończył budowę podziemnego telegrafu elektrycznego pomiędzy Berlinem, Frankfurtem i Akwizgranem; następnie założył wspólnie z Halskiem w Berlinie instytut budowy telegrafów. Wzbogacił on wiedzę elektrotechniczną licznemi odkryciami, jest między innemi wynalazcą kolei elektrycznych. Największem jego dziełem było zbudowanie telegrafu podmorskiego pomiędzy Londynem a Indyami.—W ogóle działalność jego na polu elektrotechniki jest epokową.

† W Żytomierzu, zmarł dnia 9 bieżącego miesiąca, gdzie długie lata przebywał, ś. p. Jan Prusinowski. prawnik z zawodu, poeta, literat i korespondent wielu pism. Zmarł w sędziwym wieku, licząc lat 74. Z prac jego osobno wydanych znamy dwie: „Z podań ludu i obcej mowy“, oraz „Poezye,“ obiedwie wydane w Warszawie 1856 r. Nie należał do gwiazd wybitniejszych naszego Parnasu, ale wdzięcznie przyoblekał w szatę rymowaną podania i legendy ludowe i melodyjne układał piosenki; do kilku z nich Moniuszko muzykę dorobił (Ruta, Wróżba znachora, Przy kądzieli, Entuzyasta, Przed zachodem, Stary hulaka). W ... wydał wspólnie z Maurycym Krupow... ...smo zbiorowe „Po ziarnie,“ poświęcone ... ci Waleryana Tomaszewicza, w którem ... parę przekładów z Heinego. Prócz tego ... tłómaczył z Lermontowa, Puszkina, R... i t. d. Z wielu artykułów i poezyi, d... nych w czasopismach, wymieniamy n... W „Bibliotece Warszawskiej“ (1854— ... „Dwa obrazy z Pamiętników Paska,“ „... „Przysłowia ukraińskie w piosnkach;“ ... godniku Ilustrowanym“ (1860—1867): ... kołyską,“ „Wiejska ustroń,“ „Pod szki... łowskiego,“ „Ziemiaństwo,“ „Na portret ... nochy,“ oraz prozą: życiorysy J. Czeczota ... J. Komornickiego, „Pamiątki po rodzinie ... wackich,“ wreszcie opisy okolic i gmachów ... tomierza, jak skały Czackiego, góry Ochry... wej, jaskini Woroniczów, kościołów, szpita... i t. p.

† Kazimierz Łapczyński, etnograf i bota... zmarł w tych dniach w Warszawie. Urodz... w r. 1823, wszedł po skończeniu nauk gim... zyalnych do służby rządowej w wydziale ... munikacyj lądowych i wodnych; następnie p... cował przez lat kilkanaście w zarządzie k... terespolskiej. Nieboszczyk pisywał do „Ty... dnika illustrowanego,“ „Wisły“ i „Wsze... świata.“

† W Warszawie umarł ś. p. Ludwik N... mojewski. znany pisarz dla dzieci, autor w... utworów poetyckich, powieści i komedyi, ... wspomnień ze Syberyi, p. n. „Pierwotne ... miona Syberyi.“ Niemojewski głównie za... „Przyjaciela dzieci“ i pisma prowincyonal... W „Kaliszaninie“ pomieszczał liczne swoje ... ce. Umarł w 69 roku życia.

† Z najnowszego zeszytu *Biblioteki W... szawskiej* dowiadujemy się, że w Średnekoł... sku zmarł uczony przyrodnik, rodak nasz, A... Czerski, towarzysz prac i podróży profe... Dybowskiego. Akademia nauk w Petersbu... wysłała go latem b r. do Syberyi półn... wschodniej dla zbadania pod względem g... gicznym okolic od Jakucka do Kołymska. W ... gramie badań jego, rozłożonych na lat ... było posuwanie się za biegiem rzek Koły... Indygirki i Jeny do oceanu Lodowatego ... poznania i dania dokładnego obrazu tych ... szarów.

† Fryderyk Hellwald, głośny pisarz na ... geografii, etnografiii i historyi cywilizacyi, u... z. m. w Tölz w Bawaryi w 51 roku życia. U... dzony 1842 roku w Padwie, jako syn jener... wstąpił w r. 1858 do armii austryackiej, ... udział w r. 1866 w wojnie przeciw Prus... lecz później porzucił karyerę wojskową i ... redaktor pisma *Ausland* zamieszkał w A... burgu, a następnie w Cannstadt. W r. 1... porzucił redakcyę. Najbardziej popularnem d... łem Hellwalda jest: *Die Erde und ...* *ker* z ilustracyami, oraz *Kulturg...* *ihrer natürlichen Entwickelung bis ...* *wart*.

Treść Numeru:

Z drukarni A. Słomskiego i Spółki w Krakowie.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny ...